№ 27 Warszawa, dnia 23 Czerwca (5 Lip ca) 1879 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

w literaturze i społeczności naszéj.

(Dalszy ciąg).

Czy to z przypadku, czy z umysłu Kraszewski zamieszkał nieopodal Horodca, w którego pałacu pomieszczała się sławna w kraju naszym, bogata biblioteka Urbanowskich; były tam skarby bibliograficzne, które go do siebie przeważnie ciągnęły, a z których nieomieszkał korzystać. W Tyg. Pet. (z 1836 r. N. 2) poświęcił obszerny opis téj biblioteki. Ztąd odbywał on wycieczki po Polesiu i Wołyniu, co podało mu z czasem materyał do napisania całego dzieła p. t. Wspomnienia Polesia, Wołynia i Litwy. Najsamprzód ogłaszał on wyjątki z niego w Tygooniku jak np. prześliczny opis Pińska. Przykład Kraszewskiego tak był silny, że tak powiem zaraźliwy, że za jego przykładem wyszło zaraz dzieło hr. Aleks. Przezdzieckiego: Podole, Wołyń i Ukraina, wpsomnienia miejsc i czasów. Tu w Horodcu poznał on i poślubił pannę Woroniczównę, siostrzenicę pani Urbanowskiéj, właścicielki téj majętności. Tu oddał się studyom nad starą literaturą naszą, nad naszemi staremi kronikarzami i autorami Herbarzy, tu wreszcie oddał się studyom nad dziejami Wilna do których wypisy robił jeszcze w Wilnie w archiwach miejskich. W Dołhem Kraszewski żył jak pustelnik, tęsknił po trosze za miastem i towarzyszami wileńskiemi młodości swojéj. W Tygodniku, z 1837 roku, spotykamy się z epistolą wierszowaną Kraszewskiego, do kolegi literata Józefa Krzeczkowskiego, wydawcy Źnicza i Biruty, w któréj użala się na zajęcia gospodarskie, odrywające go od pracy i na swoje nerwy, których ani opium, ani krople laurowe uspokoić nie zdołają. Pomimo to jednak Kr. ma ustawicznie w głowie literaturę, a zamiast gospodarskiéj niwy, zajmuje go bardziéj pole oświaty krajowéj, leżące odłogiem, na którem wolałby pracować niż na roli. Dopytuje swojego przyjaciela o nowiny wileńskie, to bolejąc to drwiąc sobie na przemiany, z ciemnoty i zacofania się społecznego owéj doby.

Nowin ci żadnych nie poślę do miasta:
Ja wiem tylko jak zboże sieje się i wzrasta,
Jak wieśniak siedzę w ziemi, a co jest nad ziemią,
Co kto zrobił, napisał, wymyślił, ogłosił,
Nic nie wiemy, nie wiemy,
Świat dla nas pusty i niemy!
Lecz zato o nowiny ciebie będę prosił!
Któż tam o was co pisze! nad czem prassa stęka?
Przed jakiem nowem głupstwem wasz świat mądry [klęka?
Czy kalendarz Zymela czyli słownik nowy
Wyszedł jak promień z waszych literatów głowy!
I świeci tłumom zdziwionym
Którym ukazać się raczył?
Kto na rok nowy piórem w wodzie umoczoném
Co nowego przetłomaczył?
Kto teraz, panowie moi,
U was na świeczniku stoi?
Twoja Birula biedna, już też, chwała Bogu,
Rodzi się pod kosztownym i ciężkim połogu,
A choć popularniéjszy kalendarz Zymela,
O! Józefie! ty nie płacz! u nas dobrze piją,
Jedzą, bredzą, dla brzucha, swego przyjaciela
Wszystko kupią! Lecz głową niestety, nie żyją!
Szyfler przedał tysiące swych *Słynnych kucharzy*
I któż niezna Szyflera, kto go nie ma w domu?
Lecz biada tym kto im pokarm dla duszy uważy,
Nie mają duszy i nie ma jeść komu!
Tak, tak Józefie źle jest na tym świecie,
Lżéj kucharzom, niż poecie!
I bodaj byśmy obaj za młodych lat byli;
Zamiast estytyk sosów się uczyli!
Nawet rym sosy i losy pożenił
A świat stwierdził małżeństwo i związków uczucie.

Kraszewski odrazu przystąpił do leczenia słabéj strony społeczności naszéj: ospalstwa i ciemnoty i postanowił sobie obudzić ją z tego długiego letargu. Rozpoczął od tego że zbudził ze snu jedyny nasz organ Tygodnik Petersburski, który tak wybornie wyrażał sobą nasz stan społeczny, drzemiąc sobie w najlepsze i gadając coś czasami, jakby ze snu. Wydawca tego pisma wolał tłomaczyć z francuzkiego, rzeczy nam obce, niż zachęcić młódź do samodzielnéj pracy, który mogąc objąć sam dział krytyki, wolał posługiwać się w téj mierze pp. T. B., J. S., R. W., czekał sobie spokojnie na to co Bóg da, nie zajmując się gorliwie sprawą umysłowego ruchu w kraju. Wydawca Tygodnika nie mógłby był nic zrobić lepszego, jak wezwać do siebie Kraszewskiego, żeby go zastąpił u steru redakcyi gazety i wyręczył go; ale jemu to pewno nigdy i przez głowę nie przeszło, choć tak naturalnie przychodziło wszystkim do głowy. Zapewne potrzebaby było na to pieniędzy, a u nas panowało wtedy przekonanie, że literatura jest i niczem innem być nie może jak tylko zabawką dla pisarzy, więc ci darmo powinni pracować na literackiéj niwie, a zysk z pism powinni ciągnąć tylko sami wydawcy i księgarze. Kraszewski pisywał do Tygodnika przez lat dziesięć, a wątpię czy miał z téj pracy coś dodatniego w zysku. Mieszkając na Wołyniu zawładnął redakcyą Tygodnika przeważnie, a wydawca pisma kontent był w duchu, że ktoś przecie za niego, i na niego pracuje. Abonentów na Tygodnik przybywało coraz więcéj, garnęli się pracownicy, ożywiał się ruch umysłowy, rósł interes do literatury, do myśli, a wydawcy zdawało się, że to on sam działa, choć całą jego pracą

były króciuchne dopiski u spodu szpalty: podzielamy zupełnie, lub nie podzielamy tego zdania! Byli nawet tacy, którzy za wstęp do tego pisma, kadzili jego wydawcy pochlebstwem; mówili to nieraz, że te jego króciuchne dopiski więcéj są warte od długich artykułów jego kollaboratorów. Słaba natura ludzka; podobne pochlebne słówka wbiły w dumę samego redaktora; sądził na serio, że jemu to właściwie należy się wdzięczność za pracę tych wszystkich, którzy wznieśli jego pismo i nadali mu jego poczytność. Za Kraszewskim poczęli pisać w Tygodniku Aleks. Maciejowski, M. Grabowski, Żołkiewicz, bracia Przezdzieccy, Konstanty Podwysocki, hr. Henryk Rzewuski, X. Hołowiński, Zenon Fisz, pani Felińska, Żochowski, X. Trynkowski, B. Dołęga, Sztyrmer, Spasowski, Połujański, John of Dycalp, Podbereski Romuald, Bojnicki, W. Syrokomla i t. d. Podczas kiedy wszyscy to całe ożywienie się Tygodnika przypisywali Kraszewskiemu, wydawca tego pisma nie poczuwał się wcale do wdzięczności dla tego męża i w artykułach, pisanych po latach trzydziestu kilku, do ruskiego dziennika: *Russkie archiwum* (Russkij archiw 1872 r.), pod pseudonimem Cyprynusa, wydawca traktuje lekko Kraszewskiego, mówi, że miał takich w Tygodniku swoim kilkunastu, chwaląc się przytem, że on, swoimi radami, wyrobił Mickiewicza, Rzewuskiego i Kraszewskiego. O Rzewuskim, mówi, że te tylko pisma jego mają wartość, które drukowały się w Tygodniku, inne, wyszłe później, bez jego porady niewiele są warte, chociaż wiemy to dobrze, że najlepszem dziełem Rzewuskiego: Pamiątki pana Seweryna Soplicy, nie były pisane i drukowane pod opieką wydawcy Tygodnika, wtedy, kiedy autor ich nie miał żadnéj styczności z jego osobą. Zdawało się mi wartem zanotowanie tu tego faktu literackiego.

W świetnych czasach uniwersytetu wileńskiego, w czasach Grodka, Śniadeckich i Lelewela, rozwinęło się było dość żywo życie literackie w Wilnie i pojawiły się w tem mieście pisma czasowe: „*Dziennik wileński*“ i pismo humorystyczne „*Wiadomości brukowe*.“ Tu też wyszły pierwsze *Poezye* A. Mickiewicza. Potem, kiedy z przemianą okoliczności życie umysłowe przygłuchło w Wilnie, ekres ów uważał się za coś tak doskonałego że dla wielu wydawało się nawet, że coś tak doskonałego jak np. Wiadomości brukowe, nigdy już po raz drugi, objawić się nie potrafią. Podobny pogląd pessymistyczny, przeciwnym był idei postępu. Kraszewski który chciał odnowić tradycye stare na zasadzie myśli o postępie rozwoju ducha rodzinnego, patrzał na tę rzecz inaczéj wcale, odnosił się do tego myślą krytyczną, a głównie zrozumiał dobrze zadanie swojego czasu, na który przypadła misya, rozpowszechniania raczéj w oświacie krajowéj massy światła i wiedzy w społeczności całéj niż wydania prac kilku znakomitych osobistości. Szło tu o rozlanie smaku dobrego, nauki, zamiłowania w literaturze w masach; stworzyć piśmiennictwo i światłych czytelników, którychby zajmowała myśl i sztuka. Otóż przystępując do pracy, mającéj na celu spełnienie tego wielkiego zadania, Kraszewski napisał ważny bardzo artykuł do Tygodnika (1837) p. t. „*Literatura w Wilnie w początku XIX wieku*.“ Miał to być wyjątek z *Pamiętników* naszego autora. W artykule tym, głównie zastanawiał się nad sławnemi w swoim czasie, *Wiadomościami brukowemi* i nad ustawami *Szubrawców*, którzy je wydawali. Kraszewski starał się głównie wskazać swojéj społeczności, że ani w piśmie tem, ani w jego ustawach nie było nic tak bardzo doskonałego, jak to sobie wyobrażano i że w rzeczy oświaty nietylko można było, ale nawet należało koniecznie zrobić coś więcéj od owych sławnych, w swoim czasie, Szubrawców. Kraszewski głosił przed współczesnem sobie pokoleniem sprawę postępu, którego u nas jeszcze, rzec można, dotąd nie pojmowano wcale. U nas ustawicznie oglądano się na to co było kiedyś, cieszono się tem i to wystarczało wybornie do uspokojenia potrzeb duchowych naszego ogółu. Myślano sobie: Wilno miało kiedyś takich mężów, jakimi byli Śniadeccy, Grodek, Frank, Porcianko, Lelewel Mickiewicz, a choćby nawet Jul. Korsak i Odyniec, czyż nie dosyć dla nas? Chciano w najlepszéj wierze usnąć sobie na laurach. O Szubrawcach pisał tedy Krasz. tak: „Bardzo poważnie, serio, rozmyślnie, opublikowali oni w r. 1817 cel swój, wyraźnie w nim oznajmując wytknięcie niektórych przywar: pieniactwa, oszukaństwa, haniebnego trawienia czasu i majątku (*trawienia* majątku!?) przez gry hazardowne, a mianowicie wygnanie gry *szpetnej i szkaradnej czekino*! Środkiem dopięcia tego celu tak chwalebnego, były Wiadomości brukowe; towarzystwo całe było tylko kollaboratorami jego. Członkowie dzielili się na *Urbanów Nustykanów*; obrany był prezydent, a członkowie „wchodząc do grona szubrawskiego, otrzymywali od towarzystwa nazwanie, które we wszystkich czynnościach szubrawskiego zawodu (?) w miejsce pospolitych nazwisk im służyć i używanem być powinne. Na takowe nazwania brały się wyrazy któremi w *czasach* mytologicznych (?) starodawni Litwini oznaczali czczone istoty, lub szanowane z urzędu (?), czy z cnót znakomite osoby. Każdy szubrawiec miał się postarać w przeciągu przynajmniéj całego roku, wynaléźć, *choćby z cudzą pomocą*, a koniecznie przez się, odczytać w kronikach i dziejopisach opis podania historycznego o téj istocie, któréj nosił nazwisko, a to nie tylko dla oświecenia siebie samego, ale i w zamiarze (słuchajcie!) uczestnictwa ułożenia historyi mytologicznéj narodu litewskiego, która, z czasem, staraniem szubrawców z *rycinami* (!!) wyjść mogła.“ Dlaczego z rycinami, to się zaraz tłomaczy, bo ci wielcy mężowie, cenzorowie obyczajów, za szczególniejszą pilność i gorliwość nagradzać szubrawców mieli temi rycinami, na których, bóstwa tego nazwania, jakie nosili szubrawcy, miały być ich portretami!“ „Obowiązkiem członków było *okazywać się* człowiekiem *słusznym* i oświeconym, wypełniać pilnie obowiązki swego stanu, nie upijać się i nie grać w karty, w gry hazardowne, a grając w jakąkolwiek grę, oddawać wygranę na szpital; czytać *ciągle* jedną przynajmniéj gazetę, raz w miesiąc przynajmniéj książkę od 10 arkuszy (to dobre!) mieć 10 książek swoich własnych (towarzystwo, jak widzimy, nie utrudniało wstępu), co rok choć jedno dzieło kupić (kodeks popełnił tu grubą nieostrożność, nie wyjmując kalendarza z liczby dzieł; z innych względów tak ostrożny, tu zostawił dziurę ucieczki) co 20 dni na schadzkach, przynosić choćby jedną ćwiartkę zapisanego papieru (sic) do *wiadomości brukowych*. Kodeks Szubrawski parodyjąc inne kodeksa, arcy długo i nudnie pisze potem o dostojnikach i ich funkcyach. Schadzki szubrawców odbywały się z całą powagą donkiszotyczną, na jaką się członkowie zdobyć mogli. Domyślać się jednak potrzeba, że spojrzawszy na siebie pp. szubrawcy śmiać się z siebie musieli, bo czyż tego samego skutku nie można było otrzymać bez tych śmiesznych ceremonii, które tylko dzieci bawić mogą, a motłoch zadziwić? Bawili się sobie Szubrawcy.“ „Jednakże Wiadomości brukowe, owoc tylu głów, *conjunctis viribus* umyślnego towarzystwa wydawany, od urodzenia swego były dziecięciem słabem i rachitycznem, przy najlepszych w świecie chęciach. Skutki były sparaliżowane brakiem smaku i talentu w autorach. I proza i wiersze towarzystwa Szubrawców i satyryczne ich wyprawy i wszystkie mowy, odezwy, ody, tłomaczone ze zwojów dziupłowych, były tak śmiesznie wymuszone, a co najgorzéj, tak mało dowcipne, tak nie osolone, że potrzeba było na to ubóstwa wileńskiego, aby je czytać, albo się im dziwić!“

Kraszewski wypowiedział i udowodnił swoje zdanie o Wiadomościach brukowych, które, w owe czasy, uchodziły jeszcze powszechnie za kwintesencyę dowcipu. Jędrzej Śniadecki więcéj daleko był chwalony za swoje koncepta szubrawskie, niż za *Teoryą jestestw organicznych*. Po upadku tego pisemka J. Sękowski założył w Petersburgu Bałamuta, który, w początkach, dla dowcipu samego redaktora, miał pewne powodzenie, ale przeszedłszy w ine ręce upadł. Najsmutniejszą rzeczą było to głównie, że pisma tego rodzaju były poszukiwane dlatego jedynie, żeby się trochę zabawić niemi. Kraszewski, jak przed nim Krasicki jeszcze, wołał: „trzeba się uczyć przeminął wiek złoty!“

Jednym z najgłośniejszych artykułów Krasz. w Tygodniku Pet. (1837 r. N. 38), który zadziwił, olśnił, oburzył i pobudził do myślenia i polemiki czytający ogół była niewątpliwie jego rozprawa o tem: „*Jak się robią książki nowe ze starych książek*.“ Dowcipny ten żart publiczność wzięła na seryo, i powstały na Kr. krzyki i wołania na zarozumiałość i pychę. Zdawało się, że Kr. umyślnie podżegał ogół, chcąc wywieść go bądź co bądź z jego apatyi. Artykuł ten został wydrukowany w Tygodniku pod łacińskiem godłem: *ex rapto vivimus*! Pełno tu było dowcipu, a lekkość pióra była zadziwiająca, mimowoli porywała tych nawet, którym zdawało się, że powinni byli nie obstawać za sprawą słynnego pisarza.

„Pamiętam, tak rozpoczyna Kr. swój artykuł, żem to czytał kiedyś na paczce tytoniu, nic nowego pod słońcem i dziwiłem się wielkiéj filozofii fabrykanta, który z zupełną obnegacyą rzucił tak pełne prawdy zdanie pod nos fajkarzów rasie ludzi najobojętniejszéj na wszelkie maksymy filozoficzne. Schowałem papier do kieszeni, maksymę do głowy i znacznie później dopiero dobyłem ją z tego ukrycia, patrząc na stosy ksiąg starych i nowych!“ Któż tak łatwo jakby zniechcenia, a tak przystępnie umiał wtedy pisać, od czasu zwłaszcza kiedy hr. Fryderyk Skarbek zamilkł był na czas długi?

„Książek, mówi daléj, pod względem tworzenia jest trzy rodzaje: 1-ód książki ciągnione z siebie, literatura egotyczna, niektóre poezye, romanse; 2-re książki z życia świata: podróże, historya współczesna; po 3-cie książki robione z książek, a tych najwięcéj, historya cała, wszystkie dzieła erudycyi na odgrzewaniu i zszywaniu całych myśli, starych łachmanów zasadzone. Autorowie tego rodzaju dzieł, często całe seciny tomów wydając na świat, jednéj swojéj myśli na nie nie wyekspensowali, jak mularze, którzy z gotowych materyałów rzecz tworzą.“ Dotąd dość dobrze, ale autor, własną oceną. zapala się coraz więcéj i sypie paradoksami błyskotliwemi, bawiąc się niemi jak dziecko pieszczone. Pamiętajmy o tem, że miał wtedy dopiero 27 lat wieku, lubił pisać wiele i zażartować czasami wesoło.

„Od Alkoranu Mahometa, dodaje potem, aż do romansów nowego Balzaka, których materyał pierwszy jest pożyczony, wszystko prawie jest tylko odgrzewanem: czytajcie, a przekonacie się sami.“ Ale im daléj tem autor więcéj pozwala sobie: „O! nędzo ludzka, woła, tyle lat chciano robić złoto i nie zrobiono złota; tyle wieków ubiegło, a liczba myśli będących w obiegu o jedną się może nie powiększyła!“ To już doprawdy za wiele! Ale nie przestając na tych ogólnych myślach, młody autor, schodzi do

szczegółów bierze Bajrona, panią de Staël, Lamartine'a, Chateaubrianda, Goëthego, Janin'a, Dumas'a, Huga i wszystkim im, po kolei, przypinał łatkę. Tysiąc robaków, woła, pastwi się, je, pożera i dzieli się trupem Fausta Goëthego, którego Goëthe wziął od Morlowa, którego Morlow porwał z powieści gminnéj, ogryzł trochę w Manfredzie Bajron." I tak szło daléj i daléj dopóki nie obrobił całéj literatury powszechnéj, a dawszy odprawę obcym, wziął się z kolei do literatury ojczystéj: „Gwagnin skradł niepoczciwie Stryjkowskiego, Bielski kradł żywcem wszystkie historye jakie wpadły pod rękę: Górnicki ubrał Castiglion'a w kontusz i żupan, Kochanowski Hirzejusza i Vidę, Paprocki żywił się Kromerem, i Długoszem, Rej z rozmów kradł kawałki, kiedy się lenił z książek." „Późniéj kradli wszyscy, bez litości i miłosierdzia, uważając prawie kradzież i naśladownictwo za godny pochwały uczynek".

„W wielkim wieku Stanisławowskim, Krasicki plądrował po godziwszych miejscach Woltera, po Plutarchu i po wielu innych; sam mnich (?) przez naśladownictwo, pisał na innych mnichów. W Doświadczyńskim przebija się Kandyd i Zadyg; nie okradł wojny chocimskiéj tylko ją wziął z historyi, ale co też ona warta? Jaka kusa, jaka biedna!" „Naruszewicz garściami do swoich poezyi sypał starą rzymską, a w historyi, choć nie dziw, że kradł, bo kradzież jest pierwszym dobroci warunkiem, to znowu cudzemi rękami po materyały sięgał, a pracy myśli swojéj oszczędzał. I nie dziw, trawił on cały tydzień co zjadł u króla we czwartek. Ostrożniejszym był Trębecki, sadząc się na oryginalność i wybór przedmiotu, cały zajęty obrobieniem, zrobił poemat z Zofijowki, w którym Pelij i Tetyda, barany, filozofowie i piękna Zofia razem sobie siedzą. Poczciwy Jacek (Przybylski) całe życie łatał i nicował." „Dziś co robimy? Naśladowaliśmy Niemców, tłomaczyliśmy Francuzów, może jak się nauczymy po angielsku, będziemy z kolei Anglików nicować, a jak się cokolwiek poduczymy zaczniemy nieznacznie okradać i przerabiać, bo zawsze naprzód idzie tłomaczenie, potem przerobienie a nakoniec, „*kradzież*."

Długo jeszcze pisał, rozprawiał, drwił sobie w najlepsze, żartował, sypał iskrami dowcipu, i zakończył tą myślą: „Kto może, niech jeszcze wierzy w oryginalność: będę tego mocno zazdrościć!"

Było tu trochę żartu, trochę prawdy, wiele myśli paradoksalnych, dowcipu co nie miara, ale najwięcéj, zdaje się, działała chęć obudzenia myśli, życia uśpionego w literaturze. Po zaaplikowaniu tego jątrzącego plastru na ciele zreumatyzmowanem naszego piśmiennictwa, odrazu wszelkie złe humory literatów naszych i tych co na literaturę chorowali po trochu wyszły na jaw. Co ich tu właśnie pojątrzyło? Oto brak u nas było samodzielnego sądu o literaturze i pisarzach: panowało bałwochwalstwo pewna wiara w wielkość na cudze słowo, nikt nie śmiał mieć własnego zdania, a zdania takowe uważały się za bałwochwalstwo.

(d. c. n).

Nad brzegiem Dniestru

(Nokturno).

Pogodnie i jasno na nieba sklepieniu...
Okolica drzemie w przéjrzystym półcieniu,
A rzeka igrając w promieniach księżyca,
Orzeźwia ochłodą i wdziękiem zachwyca,

Rozległe jéj nurty spokojnie się toczą,
Przy brzegu wirują i suną ochoczo;
Srebrzysta powierzchnia w dalekiéj przestrzeni
Połyska, migocze i blaskiem się mieni...

Wychodzę samotny i staję nad brzegiem
I wzrok mój upajam wesołym jéj biegiem:
Przedemną się ściele krajobraz szeroki,
A w dole nurtuje prąd wody głęboki...

O jakże urocza ta chwila spokoju
Po pracy codziennéj, po zgiełku i znoju!
Przyroda uśpiona... noc jasna i cicha...
A wonném powietrzem pierś raźniéj oddycha...

Powoli stopniowo, pod wpływem uroku
Téj ciszy pogodnéj i nocy pomroku,
Rzeźwiąca otucha myśl lotną podnieca
I brzaskiem nadziei tło dumań oświeca...

Czarowną potęgą ocknione z uśpienia,
Przed wzrokiem méj duszy przechodzą widzenia:
Obrazy przeszłości narody i wieki,
Co niegdyś działały nad brzegiem téj rzeki...

I zdaje się, widzę oblicza poważne,
Wytrwałe w nieszczęściu a w życiu odważne,
Co z godłem ofiary i hymnem modlitwy,
Szły w pracy dziejowéj do czynu i bitwy...

Ich wzniosłe postacie o rysach wymownych,
W błyszczących szyszakach i zbrojach hartownych,
Unoszą się w dali jak bogi zwycięztwa,
Jak duchy wcielone rozwagi i męztwa..

Z promiennem wejrzeniem na czele swych szyków,
Śród zgiełku oręża i wrzawy okrzyków,
Z spokojną odwagą, skinieniem buławy,
Prowadzą drużyny do zwycięztw i sławy...

I dokąd że dążą te hufce pancerne?
Czy gromić Tatary i Turki niewierne?
Wciąż gonią... gdzieś spieszą... i coraz to daléj
Migocą kirysy i hełmy ze stali...

Już ledwo co widać ich konie ogniste,
Już zlały się w ścianę ich zbroje srebrzyste
Aż wreszcie w odległem, krańcowem przezroczu,
Raz jeszcze błysnęły i znikły z przed oczu...

Naprożno ich ściga lot myśli stęsknionéj,
Naprożno ich wzywa głos duszy spragnionéj,
Zabłysli, przemknęli, jak wzroku złudzenia,
Jak zachwyt przelotny, jak powiew natchnienie...

I znowu samotny spoglądam przed siebie;
Sen głuchy dokoła, noc jasna na niebie;
A rzeka, iskrząca w promiennéj powłoce,
Swe nurty roztacza i blaskiem migoce...

Olśniony widokiem, wzrok buja w przestrzeni
Na falach przezrocza ze światła i cieni,
I dążąc wraz z myślą w wszechświata otchłanie,
O losach ludzkości zagaja pytanie...

Lecz któż je wyczyta w bezdennym błękicie?
Tam świetne planety wirują w zachwycie,
Tam złote promienie szybują bez końca
Od gwiazdy do gwiazdy, od słońca do słońca...

Na ziemi?... Tu cisza na ziemskiem padole,
Niewzględna na chęci i ludzkie niedole...
Pod nocy zasłoną, w przejrzystym półcieniu.
Spoczywa kraina w głębokiem uśpieniu...

Lecz nie zna spokoju ma rzeka rodzinna,
I we dnie i nocy wciąż wartka i czynna,
Jak wszelka potęga, co siłę swą czuje,
Wytrwale podąża, bez zgiełku nurtuje.

Zmieniły się dzieje, przebrzmiały narody,
Lecz nic nie wstrzymało potoku téj wody;
Jak dawniéj wesoło jéj nurty się toczą,
Jak dawniéj wirują i suną ochoczo...

W nich siła jedności kierunku i celu
Taż sama, niezmienna od wieków już wielu,
A widząc ten przykład zbawienny w ich biegu,
Z otuchą do pracy powracam z nad brzegu...

Dr. Rudolf Rożniatowski.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

XXIII.

Był to właśnie dzień urodzin Flaminii. Nad Wenecyą zeszło słońce pogodne, ale po niejakim czasie podniosła się para z wody i napełniła powietrze pewną mgłą przezroczystą, właściwą tylko temu miastu nadwodnemu. Mgła ta nie przeszkadzała ani promieniom słońca, ani widoków dalszych niezasłaniała, tylko zacierając z lekka wyraźniejsze kontury tworzyła w rzeczywistości obrazy, które tylko w rozegranéj wyobraźni tworzyć się zwykły. Całe miasto w takiem przezroczu wygląda uroczo i fantastycznie jak jedno z owych widm podzwrotnikowych.

Długo patrzał Maryan z okna swego na ten widok czarowny i zdawało mu się, że patrzy w bliską przyszłość swoją, w któréj tyle już pewnych widzi zarysów, a która mimo to przesłoniona jest lekką mgłą niepewności i oddalenia...

Gdy tak przy tym widoku rozkoszował i o tem, co mu dzień dzisiejszy oprócz króla Pantaliona nowego przyniesie, słodko marzył, wszedł służący do pokoju i położył przed nim list okazały w duży kwadrat zwinięty.

Była to epistoła poczciwego pana Krzysztofa.

Maryan poznał rękę przyjaciela i prędko pieczątkę rozłamał. Czytał długo... czytał jeszcze raz, a dobrotliwy uśmiech biegał mu po twarzy. Pomyślał chwilę, złożył list napowrót i udał się z nim do rodziców.

Rodziców zastał już w saloniku. Była także i Eliza. Eliza miała twarz ożywioną jakby o czemś ważnem z rodzicami mówiła. Pan Salezy wyglądał poważnie jakby coś w głowie rozbierał a oczy pani Apolonii błyszczały jak płomienie gazowe.

Gdy kwadratową epistołę w rękach Maryana ujrzano, ucieszyli się wszyscy i z ciekawością spojrzeli na pismo, które im jakąś nowinę zwiastowało.

— Z kądże taki list ministeryalny? zapytała Eliza z widoczną ciekawością.

— Od pana Krzysztofa, odpowiedział z pewnem zadowoleniem Maryan.

Eliza machnęła ręką.

— Myślałam, że przynajmniéj depesza od ministra spraw zagranicznych, rzekła z uśmiechem.

Maryan zmarszczył czoło.

— Ręczę ci, odpowiedział, że nie sprawiłaby mi takiéj przyjemności jak ten list od zacnego i serdecznego mego przyjaciela.

Eliza zaczęła bawić się koronką.

— Cóż on tam pisze? zapytał pan Salezy.

Podczas gdy Maryan list rozkładał wstała Eliza jakby chciała wyjść do drugiego pokoju.

— Zostań Elizo, rzekł Maryan do niéj z lekkim wyrzutem przecież list pisany we dworze Tuliwód powinien cię interesować.

— I owszem, szybko odpowiedziała Eliza, chciałam tylko zobaczyć która godzina.

Eliza usiadła napowrót a Maryan zaczął powoli odczytywać to wszystko, co owego wieczora pan Krzysztof z niemałem wysileniem swego ducha w pewną całość złożył w tem błogiem przekonaniu, że ten list nie ujdzie także uwagi Elizy.

Maryan czytał z wielkiem uczuciem a wszyscy słuchali go z uwagą. Eliza słuchała także a nawet zapomniała zabawiać się jak zwykle swoją koronką.

Gdy Maryan skończył nastąpiła krótka pauza milczenia.

— Zacny człowiek, ozwał się pierwszy pan Salezy.

— Coś o Elizie dużo pisze, odezwała się z uśmiechem pani Apolonia i spojrzała na córkę.

Eliza uśmiechnęła się z pewnem zadowoleniem.

— Cieszę się z tego, rzekła, że pan Krzysztof przyznaje mi pewną zasługę w swojéj dzisiejszéj edukacyi. Szkoda tylko że to tak późno nastąpiło. Zawsze jednak ktoś powinien mi kiedyś być wdzięcznym, że z niezgrabnego niedźwiedzia zrobiło się zgrabniejsze nieco zwierzątko.

Maryan spojrzał z gniewem na siostrę.

— Jak ty ludzi oceniasz? zapytał z chmurą na czole, czy wiesz że to najzacniejszy, najpoczciwszy pod słońcem człowiek, jakiego w życiu spotkałem?...

— Ależ nie przeczę temu bynajmniéj, odparła żywo Eliza, może być najzacniejszym i najpoczciwszym, ale że w salonie trochę śmiesznie wygląda to mi sam musisz przyznać... Zresztą zostawmy go w miłym spokoju a wróćmy do czegoś ważniejszego. Właśnie przed chwilą mówiłam z rodzicami...

— Eliza mówiła nam, przerwał mówiącéj pan Salezy, że oświadczył się jéj hrabia Stella.

Maryan spojrzał ze smutkiem na siostrę.

— Jest to zawsze zaszczyt niemały, dorzuciła pani Apolonia a oczy jéj błyszczały jeszcze jaśniéj.

Nastała pauza milczenia.

— I cóż mu odpowiedziałaś? zapytał smutno Maryan.

— Nic mu jeszcze stanowczego nie odpowiedziałam, odparła Eliza, ale dłużéj zwlekać nie mogę. Dzisiaj oczekuje ostatecznego słowa ode mnie i zapewnie z rodzicami zechce się rozmówić.

Znowu zapanowało milczenie.

— Czy masz o nim jakie pewniejsze wiadomości? pytał daléj Maryan.

— Mimo wszelkich moich wysileń wiem tylko tyle, że się nazywa hrabia Stella i że ten tytuł słusznie mu się należy. Wiem że na balu u księcia *** wszyscy jego rówieśni tak go nazywali, że wój jego ma pałac przy canal grande i rozległe dobra na terra ferma, a prócz tego ciotka jego spokrewniona z książętami Monte negroni...

— Czy to już wszystko?

— Niestety, wszystko.

Nastąpiło złowrogie, niemiłe milczenie.

— Czyż to nie dosyć? przerwała milczenie pani Apolonia.

Maryan ruszył ramionami. Twarz Elizy zarumieniła się.

— Przecież to zawsze więcéj od tego, co wiesz o Flaminii, ozwała się ze złośliwym uśmiechem.

Maryan spoważniał.

— Widzę ztąd, ozwał się spokojnie, że kochasz hrabiego Stellę.

Eliza stanęła w płomieniach.

— O tem się teraz nie mówi, odparła z chmurą na czole.

Maryan spojrzał na nią z ciekawością.

— Więc ma to być tylko *mariage de couvenancass?*

— Ośmnastoletnią panienką nie jestem.

— To nie wyklucza bynajmniéj potrzeby uczucia.

— Przecież z wzruszeń mego serca spowiadać się w tym wieku nie będę.

Długa pauza milczenia.

— Przecież Maryan źle ci nie życzy, ozwał się pan Salezy z pewnym wyrzutem.

— Zresztą nie ma do tego powodu, dodała pani Apolonia, zwłaszcza jeżeli ci się trafia tak dobra a dla całéj familii tak zaszczytna partya.

Eliza pomyślała chwilę a potem rzekła:

— Jeżeli intencye Maryana są moim zamysłom przyjazne, to chętnie przyjmę od niego wszelkie rady, jakie w tym względzie uzna za potrzebne. A nawet powinien poczuwać się w téj sprawie do pewnych obowiązków, gdyż dzisiejsze moje położenie jest prostym skutkiem mojéj dla niego życzliwości. Trzymając hrabiego wszelkiemi siłami zdala od Flaminii, która mu się bardzo podobała, zgotowałam dla siebie dzisiejszą sytuacyą, z któréj przecież nie powinnam się wycofać.

— Nie jest to jeszcze tak wielkie nieszczęście, odpowiedział z uśmiechem pan Salezy, za które miałby Maryan być odpowiedzialnym!

— Zdaje mi się, dodała pani Apolonia, że twoje poświęcenie się dla brata jest sowicie nagrodzone, każda może ci tego zazdrościć.

Maryan patrzał przed siebie zamyślony i gniótł w ręku nieszczęśliwy list poczciwego pana Krzysztofa, który z taką niezwykłą poetyczną werwą był napisany...

— Nieograniczam bynajmniéj twojéj woli, rzekł do siostry, ale to muszę ci powiedzieć, że miałem wcale inne nadzieje.

I jakby chciał dać jéj bliższy obraz tych nadziei, które się dzisiaj urywają, poszarpnął przypadkiem za list zacnego pana Krzysztofa i rozdarł go na dwoje.

Eliza zrozumiała ten przypadkowy objaw i uśmiechnęła się złośliwie.

— Tylko proszę cię do spraw mego serca nie mieszać interesów gospodarskich. Gdy zostanę hrabiną Stella, spodziewam się, że familii wstydu nie zrobię.

— Ale hrabina Stella będzie na wydatki swoje potrzebować trochę więcéj pieniędzy, niżeli inni ludzie śmiertelni, odrzekł Maryan.

— Otóż teraz dobrze powiedziałeś. W tym właśnie względzie możesz mi zrobić niemałą przysługę. Tobie jako memu bratu to prędzéj ujdzie.

Maryan patrzał w ziemię.

— Mam się z nim otwarcie rozmówić? zapytał nie podnosząc oczu.

— Możesz się otwarcie rozmówić, tylko... sam nie bądź za nadto otwarty.

— Jakto rozumiesz?

— Gdy mowa zejdzie na stosunki materyalne. Tu za granicą mają zazwyczaj wszystkich cudzoziemców za bardzo bogatych ludzi.

— W takim razie otwartość jest obowiązkiem.

— Jeżeli przeciwna strona tego wyraźnie nie żąda, to byłoby wielką niezręcznością narzucać jéj naszą parafialną otwartość.

— Ależ to może prowadzić do nieszczęścia.

— Chodzi mi głównie o to, aby o niebezpieczeństwie tego nieszczęścia wcześnie się dowiedzieć.

Maryan patrzał czas niejaki w milczeniu na siostrę a potem szybko spojrzał na zegarek.

W téj chwili wszedł służący i przyniósł pyszny z samych białych kwiatów złożony bukiet.

Oczy Maryana zaiskrzyły się na widok bukietu. Przypomniał mu on żywo wszystkie owe rozkoszne nadzieje które się do tego bukietu wiązały... Tylko szelest rozdartego papieru, który w téj chwili z rąk jego na ziemię upadł rzucił nagle cień smutku na jego twarz rozpromienioną. Podniósł go jednak szybko z ziemi i z pewnym uśmiechem nie straconéj nadziei do kieszeni schował.

— Może byśmy już wyszli, zagadnęła Eliza obejrzawszy bukiet dokoła.

— Jeszcze zawcześnie, odrzekł pan Salezy.

— Przejedziemy się trochę po *Rivie*, wtrąciła pani Apolonia.

I wszyscy w uroczystem milczeniu wyszli z pokoju.

XXIV.

Podczas gdy szczęśliwy, uśmiechnięty pan Salezy podtrzymywany przez syna i córkę powoli się po Rivie przechadzał i o spokojnéj swojéj przyszłości słodko marzył, stara Palczewska niecierpliwiła się w swoim pokoju, że Flaminia tak długo ze swojéj izdebki sypialnéj do niéj nie wychodzi. A najwięcéj martwiło staruszkę, że kawa, któréj była wielką amatorką, wychłodnie do reszty. Od czasu do czasu wołała na Flaminię, która z drugiego pokoju odzywała się, że natychmiast wyjdzie.

Wreszcie dotrzymała słowa i wyszła.

Staruszka spojrzała na nią z niesmakiem.

Flaminia miała na sobie suknię żałobną.

— Już dzisiaj mogłabyś dać pokój tym fantazyom, z chmurą na czole odezwała się staruszka, już na sam widok żałoby robi mi się słabiéj. Podaj mi wódkę kolońską.

Flaminia ucałowała w rękę staruszkę.

— Nie gniewaj się babuniu, odpowiedziała podając jéj flakonik, może to już więcéj się nie powtórzy.

Przy tych słowach szkarłatny rumieniec oblał jéj twarz białą. Staruszka patrzała na nią z rosnącem zadowoleniem.

— Już tam mów co chcesz, ozwała się z uśmiechem, ale przy tych wszystkich twoich fantazyach jest także spora szczypta próżności. Wiesz dobrze że w czarnym kolorze, a do tego jeszcze w żałobnym, jest ci do twarzy. Chcesz być dzisiaj piękniejszą niżeli zwykle, chcesz konkurenta zmusić do wypowiedzenia ostatecznego słowa.

Łzy zaszkliły się w oczach Flaminii, ale na ustach pozostał uśmiech szczęścia.

— Niech mnie babunia o to nie posądza, rzekła z chmurką na czole, bo takie posądzenie bardzo mnie boli. Gdybym wiedziała że ktoś tylko dla koloru włosów i cery twarzy mnie kocha, zrzekłabym się takiéj miłości odrazu.

Staruszka uśmiechnęła się.

— Pójdźże do mnie ty czuła istotko, zawołała wyciągając do pieszczot chudą, pomarszczoną rękę,

pójdże tu, niech ci te kędziorki złote lepiéj nad uchem ułożę.

Flaminia pochyliła głowę do ramienia staruszki, która ją naprzód w czoło pocałowała a potem włosy od skroni odgarnęła. Podniesione do góry włosy spadły złotą kaskadą na liliowéj białości szyję.

— Tak będzie lepiéj, rzekła staruszka, gdy byłam w takim wieku, miałam takie same włosy. Św. pamięci Kalikst, gdy po raz pierwszy moje włosy obaczył, zawołał głośno, że z tą musi się ożenić.

Smutny wyraz wspomnienia przemknął po twarzy staruszki. Na twarzy zaś Flaminii pojawił się uśmiech.

— Gdyby mnie kto tak powiedział, odpowiedziała, poszłabym do fryzyera, kupiłabym szenion tego samego koloru jak włosy i posłałabym zakochanemu adoratowi wraz z krzyżykiem na drogę od siebie.

— Ty zawsze latasz po niebie a zapominasz o ziemi. Mężczyźni tak bardzo znowu po niebie latać nie lubią, osobliwie gdy kobieta ma złotego koloru włosy i ciemno szafirowe oczy. O tem powinnaś wiedzieć i tym posagiem swoim, jaki ci dał pan Bóg dobrze gospodarować.

Posmutniała Flaminia.

— Inaczéj wyobrażam sobie miłość, rzekła, a gdybym się w tem myliła, byłabym bardzo nieszczęśliwa.

— Jakże sobie ją wyobrażasz?

— Pana Maryana nie widziałam, nie wiedziałam jak wygląda, jakie ma włosy i oczy, a jednak...

— Kochałaś go?

— Prawie go kochałam, odpowiedziała zarumieniona, bo znałam... człowieka.

— Z kądże go znałaś?

Eliza opowiadała mi różne szczegóły jego życia w jakich zazwyczaj człowiek się odsłania. Znałam już dobrze jego serce, jego duszę i całe usposobienie. Zdaje mi się że jakkolwiekbądź mógłby wyglądać, nie zmieniłabym swego uczucia.

Staruszka zamyśliła się.

— A zdaje mi się, mówiła daléj Flaminia, że takie uczucie lepsze i trwalsze nad wszelkie inne wrażenia kolorów i kształtów. Nie czynią mu bowiem ujmy ani zmarszczki ani siwe włosy, które ostateczną są przemianą każdego kształtu i koloru.

— Takby może być powinno, odpowiedziała po krótkim namyśle staruszka, ale w powszedniem życiu jest inaczéj.

— Przecież od nas zawisło, aby nasze życie było niepowszednie.

Staruszka machnęła ręką.

— Niechże cię nie znam, zawołała, jak zaczniesz prawić mi jakieś tam swoje androny, to zapominam nawet o kawie. Do szczętu wychłódła. Każ przygrzać śmietankę, czyli raczéj mleko. Jeżeli jeszcze zdrowia dla siebie pragnę, to na to tylko, abym widziała cię już raz mężatką a sama napiła się kawy z dobrą, polską śmietanką.

Flaminia rozśmiała się.

— Śmiejesz się, mówiła daléj staruszka, jakby te dwie rzeczy obok siebie godnie stać nie mogły, ale zdaje mi się, że prędzéj mogę ciebie mężatką obaczyć, niżeli napić się kawy z polską śmietanką...

Posmutniała staruszka. Flaminia chciała się uśmiechnąć, ale uśmiech wcale się nie udał.

— Widzisz, zawołała staruszka, nawet uśmiechem nie możesz mnie pocieszyć. Cóż robić. Pozostaje tylko rzecz druga, aby cię mężatką obaczyć.

Flaminia posmutniała teraz.

— Dlaczegoż babunia robi takie przeskoki, rzekła, przecież pierwéj niżeli mężatką, jest się narzeczoną.

— Jak najkrócéj, powiadam ci, jak najkrócéj.

— To są chwile tak szczęśliwe.

— Ale ja czuję, że na mnie czas przychodzi. A chciałabym abyś już miała jaką opiekę.

W oczach Flaminii stanęły łzy.

— Rzecz bardzo prosta i naturalna, mówiła daléj staruszka, jedne umierają, drugie za mąż wychodzą...

— Babuniu tak o tem mówisz, jakby jedno i drugie było już pewne.

— Najpewniejsze powiadam ci jedno i drugie. Że śmierć pewna, o tem nie ma co mówić, a że pan Maryan dzisiaj tobie się oświadczy; to tak jakbym czytała.

Flaminia zaczęła się bawić czarną koronką.

— Od dawna widzę, mówiła daléj staruszka, że pan Maryan do tego kroku się zabiera. Dlatego też powiedziałam o twoich urodzinach, aby mu dać sposobność oświadczenia się w tym dniu. Podobne uroczystości nastrajają zazwyczaj do takiego kroku. Nieboszczyk mój mąż oświadczył mi się także podczas imienin, chociaż nie moich, tylko swego klienta.

Flaminia zamyśliła się.

Tymczasem nadeszła przygrzana śmietanka a staruszka zaczęła pić kawę z całą systematycznością.

— Gdy będę umierać, rzekła z uśmiechem, to serdecznie będzie mi żal kawy. Już to kawa wielką gra rolę w mojem życiu. Św. pamięci Kalikst lubił także kawę, przy kawie więc załatwiały się wszystkie nasze spory małżeńskie. Pamiętam, raz przy wylewie wody trzy dni nie było u nas kawy, i przez trzy dni gniewaliśmy się oboje na siebie. Czy ty nie wiesz co pan Maryan najlepiéj lubi?

Flaminia rozśmiała się.

— Nie śmiéj się, ofuknęła ją staruszka, gdy będziesz żoną, to sama poznasz co w pożyciu małżeńskiem znaczą takie drobne upodobania. Nie myśl że będziecie zawsze mówić z sobą o poezyi i w niebo się wpatrywać. To tylko uchodzi przed ślubem. A potem wszystko na kołek.

— Będę umiała do wszystkiego się zastosować, odpowiedziała cichym głosem Flaminia i zarumieniła się.

— Otóż to złote słowa moje dziecko. Zastosować się i wyrobić w sobie wspólne skłonności i wspólne upodobania. Św. pamięci Kalikst dawniéj kawy nie pijał, a potem wraz ze mną przepadał za nią. Za to ja znowu nauczyłam się od niego jeść chléb czarny, którego dawniej nie znosiłam. Wzajemne ustępstwa!

Lekcya staruszki o pożyciu małżeńskiem byłaby jeszcze dłużéj trwała, ale stanęły temu na przeszkodzie dwie rzeczy. Kawa już się skończyła i do pokoju wszedł teraz pan Salezy z całą rodziną.

Nastąpiły powitania i życzenia. Maryan do słów swoich dołączył prześliczny bukiet z białych kwiatów, który natychmiast zajął honorowe miejsce na palisandrowym, bogato złoconym stoliku.

Mimo wszelkich konwencyonalnych słów i frazesów, które w obec liczniejszych świadków są konieczne, uderzyła wszystkich niepospolicie, że Flaminia była w żałobie.

Wprawdzie z żałobą tą było jéj bardzo do twarzy. Złote i bujno po białéj szyi rozrzucone włosy, odbijały wybornie od przyćmionéj czarnéj barwy kaszmiru i czarnéj koronki. Na bladéj twarzy igrał niezwykły uśmiech szczęścia i zadowolenia i od barwy żałobnéj odbijał jak jasna, pogodna gwiazda w szczelinie ciemnéj chmury, która już za widnokrąg po burzy zapada.

Mimo tego wszystkiego szczególne wrażenie sprawiał na wszystkich ten strój żałobny. Pan Salezy nie wiedział co na ten strój powiedzieć i nadaremnie szukał słów w swojéj głowie, aby się o to zapytać. Jeszcze bardziéj była zdziwiona pani Apolonia, która nawet zdziwienia swego ukryć nie umiała. Eliza skrzywiła się a jakaś niedobra chmurka wysunęła się na jéj czoło.

Największe wrażenie sprawił ten strój żałobny na Maryanie. Zasłonił on nagle jakby kirem błękitne niebo jego marzeń a złowrogie przeczucie napełniło mu serce.

Cóż znaczy w tym dniu radości i życzeń wesołych ta czarna żałobna suknia? Cóż chce mu tym strojem Flaminia powiedzieć? Czy zamiast szczęścia, zamiast pogody życia może mu tylko dać, żałobę?... Czy uczyniła to naumyślnie, aby wszelkie przedwczesne nadzieje odebrać, jakiemi karmi się jego serce?...

(d. c. n.)

NA WYSPIE.

NOWELLA

Fr. Spielhagena.

przekład z niemieckiego

(Dalszy ciąg).

Rozdział XXIX.

W środku dużego, lecz nieco nizkiego pokoju, stara, rzeźka gospodyni pana von Elze, prędko stół białym nakryła obrusem, i przystroiła go mchem obrosłemi butelkami kosztownego wina, i siedmioma kieliszkami dziwnego kształtu, które mąż jéj będąc długie lata kucharzem okrętowym Bóg wie z którego końca świata przywiózł niegdyś. Panowie dobrze już podochoceni przy stole komendanta, na nowo do kieliszka zasiedli.

Paweł najmłodszy z obecnych, gdyż Gerhard o rok starszy był od niego, najmniéj miał w głowie, i z zajęciem przysłuchiwał się i przypatrywał podnieconym humorom towarzyszy. Gustaw siedział milczący, nie mieszając się wcale do rozmowy. Komendant zaś jak zwykle, monotonnym głosem bezustannie coś opowiadał, z tą tylko różnicą, że tym razem obojętnem mu było czy go kto słucha lub nie. Paweł przysiadł się do niego i nie bez trudu przypomniał mu owo sławne zdarzenie z malajskimi rozbójnikami; lecz nieszczęśliwa gwiazda świecąca nad tą historyą jeszcze nie zaszła, komendant przerwać musiał, wzywano go, bo mimo spóźnionéj pory okręt jakiś w pobliżu Neduru stanął, i wywiesił latarnię żądając sternika.

— Mój Pawle powrócę zaraz, pamiętaj tylko na czem stanąłem, oddalając się rzekł komendant ale już nie powrócił.

Paweł o jedno miejsce posunął się daléj i znalazł się obok doktora Deusa, który natychmiast pochwycił obie jego ręce, i uroczyście poprzysiągł mu wieczną przyjaźń. Teraz nie mógł już doktór Deus pod zasłoną żartu i szyderstwa ukryć swoje miękkie, kochające, miłości łaknące serce. Wyznał Pawłowi że do tej maski którą przybierał, zmusiła go szpetna powierzchowność.

— Gdy małym jeszcze byłem chłopcem, mówił on, uważałem już że ludzie wyśmiewali się ze mnie, gdy ja, szkaradna poczwara, mówiłem tak jak czułem, serdecznie i poczciwie; a gdy płakałem śmieli się jeszcze bardziéj i w końcu doprowadzili do tego, że zwykle śmieję się teraz wtedy, gdy oni płaczą. Miłości się wyrzekłem; jedynem jéj szla-

chectwem jest piękność, a my brzydcy i niekształtni jesteśmy jéj wyrzutkami i paryami! Takiego jak ja syna, matka spartańska byłaby porzuciła w wąwozach Taygetu li tylko z czystéj miłości!

— Lecz z drugiéj strony brzydota, jest znowu błogosławieństwem; gdybym sam nie był tak brzydkim, nie kochałbym piękności tak serdecznie i prawdziwie! Oto Gerharda, kocham więcéj jak siebie samego: jest mi przyjacielem, bratem, synem, jest dla mnie wszystkiem!

Paweł spojrzał na Gerharda zajętego żywą rozmową z panem von Elze. Jego twarz piękna, rozpromieniona zapałem i winem, tworzyła dziwną sprzeczność z bladem, zimnem obliczem porucznika. Podstępny, niemiły wyraz jaki niektórzy w jego twarzy znajdowali, wyraźniejszym był dzisiaj niż kiedykolwiek. Gdy sobie tak jak dzisiaj zanadto pozwolił wina, przybierał sposób mówienia, który chociaż czasami dowcipny, najczęściéj był obrażający i bez serca.

— Bez małżeństwa większa moralność? na to się nigdy nie zgodzę! zawołał Gerhard, i ręczę że pan to utrzymuje żartem tylko. Wy panowie, którzy powstajecie przeciw małżeństwu, przedstawcież raz coś innego, lepszego, czemby je zastąpić można! Pisać lub mówić przeciw małżeństwu jest rzeczą tak łatwą, że rozumny człowiek czynićby tego nie powinien.

— Niech każdy czyni jak chce, odparł pan von Elze, ale instynkt naturalny, który najpierw odzywa się we wszystkiem, mówi przeciw małżeństwu. Zkądby to wreszcie pochodziło że człowiek żonaty, w pośród grona młodzieży, wygląda jak sowa pośród kruków?

— Oho! zawołał podchmielony pan von Sanzen, wzywam was na świadków panowie, czy to prawda że wyglądam jak sowa? Że on sam do kruka podobny, nic w tem dziwnego, wszakże całe życie był mądrym ptakiem.

— W każdym razie lepiéj być mądrym ptakiem, zawołał pan von Elze, niż owym nudnym i prawdopodobnie za karę uzbrojonym w rogi, królem Wiswamitra Heinego!

— Jesteśmy między sobą panowie, bądźmy sprawiedliwi! Kobiety są wprawdzie piękną zabawką lecz dzieckiem jest ten, który siwieje ze zmartwienia, gdy mu się zabawka jego zepsuje lub zagubi. Wychylmy kieliszki panowie! ten płyn szlachetny najlepszem jest lekarstwem przeciw siwieniu i wypadaniu włosów. I z pewnością nasz przyjaciel Gustaw zawdzięcza wyniosłe swe czoło nie temu że z nas jest najstarszym, lecz temu że najmniej z nas pije. Oto pierwsza jego szklanka nienaruszona stoi, podczas gdy my już przy trzeciéj jesteśmy butelce. Pij Gustawie! za twoje zdrowie! i wyciągnął ku niemu swój na wpół pełen kieliszek.

— Wolałbym w twarz panu rzucić tym kieliszkiem, jak pić z panem! spokojnie odrzekł Gustaw nie poruszając się z miejsca.

— Co to ma znaczyć? blednąc zapytał pan von Elze i drżącą ręką postawił kieliszek na stole.

— Słowa moje, odparł Gustaw z równym jak pierwéj spokojem, mają tę wyższość nad dwuznacznikami których pan tak często używa, że mają jedne i bardzo wyraźne znaczenie.

— Widocznie chcesz mnie pan obrazić!

— Nie przeczę że jest to moim zamiarem; ale pytanie czy mi się uda. Czy masz pan jeszcze na tyle honoru, aby módz być obrażonym?

— Ależ ten człowiek zupełnie pijany! rzekł pan von Elze odwracając się do drugich i zimną krew już odzyskawszy.

— Zapewne w to wierzyć musi człowiek, któremu wypowiedziałem otwarcie zdanie moje o jego charakterze, spokojnie rzekł Gustaw.

— Czy wyjawienie mi tego nader szczerego zdania, jedynym było powodem zaszczytnych dla mnie odwiedzin pańskich? szydząc zapytał pan von Elze.

— Najniezawodniéj! podnosząc się odpowiedział Gustaw.

— Więc sądzę że kiedy cel odwiedzin pana osiągnięty, to zapewne i odwiedziny skończone? powstając także rzekł pan von Elze.

— Bezwątpienia; w razie jednak gdybyś pan uważał za stosowne odpowiedzieć na moje nader szczere zdanie, to za godzinę, dodał patrząc na zegarek, w altanie znaléźć mnie można będzie. Dobréj nocy moi panowie, proszę nie zważać na moje odejście. To mówiąc skłonił się grzecznie, i wolnym krokiem wyszedł z pokoju.

Paweł natychmiast pospieszył za nim.

Milcząc przez parę minut szli obok siebie przez las jodłowy zmierzając ku altanie.

— Czy postępowanie moje nie uznajesz słusznem? pierwszy zagadnął Gustaw.

— Dopóki się nie dowiem co cię do niego skłoniło, przyznaję że go nie pochwalam.

— W każdym razie w sprawie téj czy mogę liczyć na ciebie?

— O! bezwątpienia!

— A więc prawdę wyjawić ci muszę! zawołał Gustaw, chociaż na myśl samą oskarżania Klementyny rozdziera się serce moje!

— Mów więc, spokojnie rzekł Paweł, chociaż ze wzruszenia drżał jakby w febrze.

Przybywszy do altany usiedli w dużych ogrodowych krzesłach. Nad nimi błyszczało tysiące gwiazd odwiecznych, jasny księżyc łagodnie oświetlał ziemię, a u ich stóp szemrało nieskończone morze, w téj chwili jak jezioro równe i spokojne. Spokojem tchnęła cała natura, ale te dwie zbolałe dusze nie odczuwały piękności téj uroczystéj chwili.

Drżącym od wzruszenia głosem opowiadał Gustaw co przecierpiał ostatniéj nocy.

— Los mój byłbym zniósł z pokorą gdyby ten człowiek godnym był jéj miłości, kończył z boleścią; lecz on jest podły i bezczelny, a myśl sama że ona takiego kochać może, doprowadza mnie do szaleństwa! W nadziei że zdołam może oswobodzić ją od tego nędznika, z ochotą poświęcę życie!

Paweł nie przerywając, pozwolił mówić kuzynowi. Pomimo że pozory świadczyły przeciw Klementynie, nie mógł uwierzyć w jéj winę. Umysł jego płodny w pomysły pracował nad tem, by całe zdarzenie wyjaśnić w inny, uniewinniający sposób i wkrótce natrafił na mniéj więcéj właściwy zbieg zdarzeń i okoliczności. Przypomniał sobie że wczoraj przy pożegnaniu, doktór Deus obiecał Klementynie przysłać lekarstwo dla chorego; i szczegółu tego udzielił Gustawowi. Zwrócił jego uwagę na prawdopodobieństwo tego, że Klementyna tak dobra i litościwa, nie odstraszyła się spóźnioną godziną i wyszła by co prędzéj zanieść przysłane lekarstwo choremu. Z powrotem spotkała zapewne pana von Elze, który także tylko co powrócił, a widząc ją samą o téj późnéj godzinie, ofiarował się towarzyszyć do domu, czego odrzucić nie miała żadnego powodu.

— A o czem tak ważnem mówiła do niego? rzekł Gustaw. Słów zrozumieć nie mogłem, lecz słyszałem że mówiła bezustannie i z zapałem jakiego nigdy dotąd w niéj nie dostrzegałem!

— O czem mówili, tego ja nie wiem także: odrzekł Paweł, ale ta okoliczność niczego jeszcze nie dowodzi, gdy przeciwnie za uniewinnieniem Klementyny to wiele przemawia, iż równie jak i my, nie mogła ona wiedzieć że pan von Elze tak późno w nocy wróci z podróży.

— A czy zaręczysz że nie powiedział jéj tego owego wieczoru gdy otrzymał ten ważny list, który go odrazu w wielkiego pana przemienił? Klementyna tak żywy udział brała w tem szczęśliwem dla niego zdarzeniu, że uważała za konieczne wyjść za nim z pokoju by mu do pisania podać wszystko.

— Oh! zawołał Paweł, i cóż pomogą wszelkie domysły i tłomaczenia! Ty chcesz obwinić Klementynę i winną ją czynisz. Widzisz Gustawie, oto są skutki twego postępowania, którego niestosowność i szaleństwo wytykałem niedawno jeszcze. Ty nie rozumiesz twojéj żony! Dzisiaj, wyznać ci muszę, że w pierwszych dniach i mnie nie podobał się jéj stosunek z tym człowiekiem, ale wtedy nie znałem jéj jeszcze. Teraz znam ją i przysięgam ci, że gdyby nie mąż jéj własny, ale kto inny podobne posądzenie śmiał na nią rzucić, to w twarz bym mu plunął mówiąc że kłamcą jest i oszczercą!

— Czy sądzisz, rzekł Gustaw, że ja nie uczyniłbym tego? Czy sądzisz że przeciw całemu światu nie walczyłbym o niewinność méj żony? Ja w to nie wierzę by ona winną była w zwykłem pojęciu ludzi; ale nie wierzę już w miłość jéj do mnie! Przede wszystkiem zaś nienawidzę tego człowieka, i to wiem tylko, że on lub ja umrzéć musi a Klementyna wolną będzie wtedy.

W téj chwili usłyszano zbliżające się kroki.

— Zapewne pan von Sanzen, rzekł Gustaw, idź naprzeciw niego Pawle i jeżeli będzie można, ułóż się z nim, aby pojedynek odbył się na pistolety.

— Wszak dawniéj biłeś się doskonale na szpady i pałasze, a nadto twoja fizyczna siła daje ci w tem przewagę nad przeciwnikiem.

— Mniejsza o to; rzekł Gustaw ze szczególnym uśmiechem. W ostatnich latach trochę zwygodniałem, i bez wielkiego kłopotu radbym dostać się do wieczności, lub tamże wyprawić tego pięknego panicza.

Paweł pospieszył naprzeciw przybywającym, a tymi byli: pan von Sanzen, Gerhardt, i doktór Deus.

Pierwszy, jak łatwo można się spodziewać, przybywał z wyzwaniem od pana von Elze; wyzwanie było na pistolety, i za wspólną zgodą metę na piętnaście kroków oznaczono. Porucznik Helm przyjął stanowisko neutralne, a doktór Schwarz ofiarował się z pomocą lekarską. Jako miejsce do pojedynku stosowne zaproponował pan von Sanzen mogiły Hunnów leżące na jego gruntach, w okolicy ustronnéj, i gdzie nie trzeba było obawiać się żadnéj przeszkody; a w razie złych skutków dla pana von Elze, dom jego stał w pobliżu, w przeciwnym zaś wypadku przeprawa z mogił na Nedur nie przedstawiała żadnych trudności. Wspólnie radząc ułożyli że na godzinę przed wschodem słońca wyruszą jednocześnie: porucznik Gerhard i doktór z *Neptuna*, Gustaw i Paweł z *Orla* a panowie von Elze i Sanzen z Neduru. Nareszcie ażeby przedwcześnie nie wzbudzić podejrzeń i nie zatrwożyć mieszkańców wyspy, całéj téj sprawie miano dać pozór wyścigów wodnych i nie zapomniano uprzedzić sternika będącego na straży, że w razie gdyby z domu komendanta pytano o Pawła, niebytność jego owemi wyścigami wytłomaczył.

Już była północ gdy ukończono wszystkie układy, i Gerhard, doktór Deus, Gustaw i Paweł wsiedli do łodzi, aby wrócić do swych okrętów.

Rozdział XXX.

Nazajutrz przed wschodem słońca, stukanie do okna zbudziło Klementynę.

— To ja pani inspektorowo, proszę otworzyć! na miłość Boską proszę otworzyć!

Klementyna poznała głos Maryi, zerwała się szybko, rozsunęła firanki i otworzywszy okno ujrzała dziewczynę bladą, bez tchu prawie.

— Co się to stało Maryo? zawołała zdziwiona.

— Ach! droga pani! płacząc mówiło dziewczę, on już odpłynął, przed pół godziną odpłynął z tym panem co przyjechał do niego! W tym samym czasie odbiły łodzie od *Neptuna* i *Orla*. i ojcu memu kazano mówić że jadą na wyścigi wodne. Ale to nie prawda!... Oni pojechali się strzelać... Matka Ronsak gospodyni pana von Elze, mówi że dobrze słyszała jak wczoraj wieczór powstała sprzeczka między nim a panem inspektorem, a potem rozmawiał on ze swoim gościem, i ona słyszała wyraźnie jak mówił że dzisiaj rano na mogiłach Hunnów strzelać się będzie z panem inspektorem. Ach! droga pani co się to stanie, co się to stanie o Boże! i dziewczyna z rozpaczą załamywała ręce.

— Maryo! zawołała Klementyna otrząsając się siłą woli z przestrachu i chwilowego osłupienia, czy mój kuzyn Paweł jest z nimi?

— Jest, jeszcze wczoraj wieczór popłynął z panem inspektorem na *Orla*.

— O Boże mój Boże! z boleścią jęknęła Klementyna, lecz w tejże chwili upamiętała się i zawołała z energią: Maryo, biegaj jaknajprędzéj nad brzeg i powiedz komukolwiek by łódź przygotował.

Zaledwo dziewczyna zniknęła z przed okna, gdy Hedda już zupełnie ubrana szybko weszła do pokoju.

— Jakto? już wstałaś Klementyno? mówiła zdziwiona, ja właśnie budzić cię przychodzę. Przed chwilą był ojciec pod mojem oknem wołając czy nie chcemy należéć do wycieczki, gdyż panowie przedsięwzięli wyścigi o zakład, już są daleko, i ojciec kazał łódź spuścić by co prędzéj płynąć za nimi. Ale co tobie, takeś pobladła okropnie! zawołała przestraszona i przypatrując się bliżéj Klementynie, która z pośpiechem się ubierała; musisz być niezdrową; niech ojciec sam jedzie, ja i tak nie mam wielkiéj ochoty.

— Nie! nie! i my popłynąć musimy! zawołała Klementyna Heddo! zbieraj się prędko! niech twój ojciec nie jedzie bez nas, powiedz mu to, ja w téj chwili przybywam za wami!

— Na miłość Boską Klementyno co to znaczy? spytała Hedda, coraz bardziéj przerażona pośpiechem i wzruszeniem Klementyny.

— Nie pytaj i nie zatrzymuj się, zrób tylko jak ci powiedziałam! zawołała Klementyna a Hedda wybiegła natychmiast.

W chwili gdy Klementyna podążyć miała za nią oczy jéj padły na łóżeczko małego synka, w którem spał spokojnie uśmiechając się od czasu do czasu. serdecznie pocałowała dziecinę:

— Czy i o tobie zapomniał? szepnęła ścicha, a łzy obfite trysnęły z jéj oczu.

Wkrótce dogoniła Heddę.

— Chodźcie, chodźcie dzieci! wołał komendant, trzymając ster w ręku. Siedźcie w kajucie dopóki nie rozwiniemy żagli. Jeżeli dogonić ich już nie będziemy w stanie, to przynajmniéj rączo ścigać ich będziemy.

Komendant opuściwszy wczoraj wieczorem towarzystwo, już nie powrócił do niego, przekonawszy się że na ten raz pił już dostatecznie. Dzisiaj rano poszedłszy do domku strażnika (co było jego codziennym zwyczajem), spostrzegł oddalające się łodzie i dowiedział się od sternika całéj powiastki o wyścigach. Gdyby się umiał gniewać poczciwy starzec, byłby się gniewał z pewnością iż go pominięto, jego, starego morskiego wilka, który jak w ogóle wszyscy marynarze, namiętnie lubił podobne zabawy.

Chłodny wiatr powiewał, fale iskrzyły się w złocistych promieniach słońca, które wydobywało się z nurtów, a białe mewy szybowały wesoło w tem świeżem rannem powietrzu.

— Rozwińcie wszystkie żagle Rickmanie! zawołał komendant głosem donośnym.

I szybko pędzili wzdłuż wybrzeża, a gdy ominęli altanę, ten jego punkt krańcowy, roztoczyła się przed nimi szeroka wód powierzchnia, dzieląca Nedur od przylądka wielkiéj wyspy, z którą zapewne w dalekiéj mgle przeszłości, jedną tworzyć musiał całość, rozdzieloną dzisiaj dwumilową blizko przestrzenią. Trzy łodzie płynące jedna za drugą w niedalekich odstępach, wyprzedziły ich o milę prawie i o doścignieniu ich nie mogło być i mowy, lecz szybka łódź komendanta, jakby wiedziała że chodzi dzisiaj o śmierć lub życie ludzkie, pędziła jak strzała wśród fali, muskając lekko powierzchnię spokojnego morza.

— Przepłyniemy mieliznę piaskową! zawołał komendant, wiatr dobry, to i wody nam starczy, a drogę o wiele skrócimy. Daléj żwawo do wioseł!

Podczas gdy stary żeglarz stojąc przy sterze oddawał się cały przyjemności wyścigów, Klementyna i Hedda siedziały obok siebie na przodzie łodzi, a serca ich przepełnione były trwogą i niepokojem. Hedda trzymała w swoich dłoniach rękę Klementyny, z obawą patrzyła w jéj osłupiałe a bez łez oczy i cichym głosem szeptała jéj słowa pociechy i odwagi, których tak bardzo potrzebowała sama. W tych krótkich okropnych chwilach, zwierzyły sobie przyjaciółki wszystko to co miesiące, lata całe, ukrywały przed sobą.

— Gdybyśmy zawsze były miały więcéj zaufania do siebie, rzekła Klementyna, tak daleko nie byłoby zaszło! Jeżeli Gustaw zginie to ja będę jego mordercą.

— O! nie mów tego! płacząc mówiła Hedda, jestem o wiele, wiele winniejszą od ciebie!

— Oni już kotwicę rzucają! zawołał komendant, a my jeszcze o całą milę od nich jesteśmy.

— Więc cała nadzieja stracona! mówił osłupiały wzrok Klementyny, podczas gdy Hedda gorzko płacząc zakryła twarz rękami.

(d. c. n.)

LISTY Z MADRYTU.

I.

Wywiązując się z obowiązania jakie przyjąłem wyjeżdżając do Hiszpanii, posełam ci, panie Redaktorze, pierwszy mój list z Madrytu. A że, jak to mówią *à tout seigneur tout honneur*, więc zaczynam od opisu stolicy Hiszpanii, w następnych zaś podam w krótkości jéj dzieje, organizacyą, obyczaje, stan nauk i piśmiennictwa.

Madryt najlepiéj przedstawia się przybywającemu od *puerta del Sol*, z pierwszego wejrzenia wydaje się ożywiony, wesoły, ludny, bogaty, nie jest przecie wielkiem miastem jak Londyn, Paryż lub nawet Wiedeń, a ludność jego nie dochodzi czterech kroć stu tysięcy mieszkańców. Jednak całość przedstawia się tak pociągająco, niebo jest tak uroczo jasne i pogodne, mieszkańcy tak uprzejmi i łatwi w obejściu, że wielu cudzoziemców przybywających z zamiarem krótkiego tylko pobytu na zawsze się tu osiedla.

Co prawda, nie ma tu wspaniałych pałaców ani nader szacownych zabytków starożytności, ale za to ulice są szerokie, ożywione, dobrze utrzymane, domy pomalowane jasnemi farbami, co mile nęci oko przybysza.

Ulica Alcala, podobna do prostokątnego placu, ciągnie się środkiem Madrytu od Puerta del Sol ku wschodowi i dotyka do rozległéj równiny, na któréj mieszczą się ogrody, przejścia place, teatra, cyrki w których odbywają się walki byków, muzea, fontanny i łuki tryumfalne. Mury wszystkie pokryte są afiszami teatralnemi i różnych widowisk, w sklepach ruch nieustanny, w kawiarniach zawsze pełno gości; ztąd roztacza się rozległy widok na Puerta del Sol, przy któréj wznoszą się wielkie gmachy i dziesięć szerokich dróg rozchodzi się na różne strony. Na ulicach przesuwa się mnóstwo przechodni i karet, gwar i szmer jakiś rozlega się dokoła, wszystkie twarze mają swobodne i wesołe miny, spoglądają na ciebie tak jakoś przyjaźnie, iż po parogodzinnéj przechadzce zapomina się że jesteśmy tu obcy, zdaje nam się że poznajemy wiele z przechodzących osób i aż ochota bierze jednemu się ukłonić, drugiego dłoń uścisnąć. Chodząc przez godzinę po Puerta del Sol, od hotelu Paryzkiego do hotelu Pokoju, można dostatecznie przypatrzéć się mieszkańcom Madrytu, lud ubiera się jak obywatele wielkich miast, kobiety, po większéj części, zarzuciły swe poetyczne mantylki i trzymają się mód Paryzkich.

Pomniki porozrzucane są w różnych stronach, ale niedobrze rozmieszczone; zdaje się ani jeden nie wznosi się wprost jakiejś wielkiéj ulicy, a tem samem nie dozwala ocenić perspektywy.

Pałac królewski, (palacio del Rey) odznacza się bogatą i zarazem poważną architekturą; dwie jego fasady zwrócone są ku polom. Chcąc przypatrzéć się głównéj fasadzie i zdać sobie sprawę z jéj położenia, trzeba spuścić się prawie w otchłań bardzo niewygodnem zejściem. Front pałacu wychodzi na wielki plac niestykający się z żadną główną ulicą; same tylko tyły pałacu tego można widziéć z placu Oriente, ale i tu perspektywa niknie jak tylko przejść w przyległą ulicę. Niektóre ulice wznoszą się niezmiernie w górę; wchodząc w nie zdaje się że jesteśmy za murami miasta, i dopiero stanąwszy u szczytu, ukazują się inne zabudowane ulice.

Wprost pałacu królewskiego wznosi się wspaniała konna statua Filipa IV na placu osadzonym drzewami, pomiędzy ktoremi mieści się czterdzieści kilka kolosalnych posągów.

Ministerstwo finansów, dawna komora celna oraz Szkoła sztuk pięknych (dwa ostatnie gmachy sięgają czasów Karola III) są zbyt zacieśnione, przez co brak im i powietrza i perspektywy, a szkoda bo przez to stracona jest cała piękność ich fasad. Ten sam zarzut odnosi się do najgłówniejszych i najpiękniejszych gmachów madryckich, jak kościoły ś. Izydora, ś. Andrzeja, klasztor Salesas Reates, teatr Opery, nowa Giełga, Bank, ministerstwa Spraw Wewnętrznych (*gobernacion*), Sprawiedliwości, Marynarki i pałac Senatu. Gmachu Izby deputowanych (*el Congresso*) nie widać zupełnie aż dopiero gdy dojdziemy końca szerokiéj ulicy, ukażą nam się dwa lwy, stojące jakby dla zawiadomienia przechodnia że przecie muszą stać przed czemś. Schodzimy więc na środek ulicy, oglądamy się dokoła, i spostrzegamy nareszcie po za placem piękny gmach i poważną jego fasadę.

Na placu Kortezów wznosi się posąg Michała Cervantesa, dłuta Antoniego Sola.

W lepszem daleko położeniu wznoszą się niektóre pałace prywatne i nowsze gmachy publiczne, jak Mennica, Ministerstwo wojny, oraz rozległy budy-

nek zajęty na Muzeum malarstwa (*Museo del Rey*), kilka teatrów, pałace księżnéj Medina-Coeli, księcia Alby i markiza Salamanca. Najludniejszemi, najwięcéj uczęszczanemi ulicami są: Alcala, ś. Hieronima, plac Arsenału i del Fureo, na którym zabity został jenerał Prim; ale środkowym punktem ruchu jest puerta del Sol.

Jest to zarazem targowisko, salon, promenada, teatr, buduar, giełda, ogród, plac broni, kawiarnia, akademia, miejsce ogólnych schadzek, klub, trybuna *mówiona* gazeta. Tu powstają i rozchodzą się wszelkie skandaliczne plotki, demonstracye przeciw ministrom i plany rewolucyi. Na tym placu układają się ody i sonety dla swoich bogdanek, tu się *polityk*uje, żebrze, stanowi o podniesieniu lub spadku renty, kopie dołki pod współzawodnikami, i t. d. i t. d. Tu od świtu do nocy przesuwają się niezliczone tłumy, tu można uchwycić prawdziwą fizyognomią Madrytu.

Już to pod względem uroczych miejsc spacerowych i widowisk, Madryt nie ustępuje innym stolicom. Długa aleja zaczynająca się przy kościele Attocha, łączy ogród botaniczny z Prado, Recollets i fontanną Castellan, a wiadomo że Prado tem jest dla Madrytanek czem dla paryżan lasek, dla Florencyi *kassinos*. Śliczne i pięknie utrzymane są parki Retiro, Monclos i kaskada Compu.

Przejdźmy teraz do moralnéj fizyognomii Madrytu. Głównym jéj wdziękiem jest tak jakby prawie rodzinne życie jego mieszkańców. Tak w teatrze jak na koncertach, zebraniach, przechadzkach, wszyscy prawie mniéj więcéj się znają; z wyjątkiem pewnych wyjątkowych sfer, większość towarzystwa madryckiego widuje się codziennie wszędzie choć się nie odwiedzają wzajemnie; jeźli znaną jaką rodzinę spotka jakieś radośne zdarzenie lub dotknie nieszczęście, wszyscy w ogóle cieszą się z nią lub smucą, a ta wspólność uczuć nadaje społeczeństwu madryckiemu zupełnie odmienną cechę wśród innych społeczeństw europejskich. Mieszkańcy odznaczają się w ogóle wesołością, prostotą, szczerością są uprzejmi i życzliwi dla cudzoziemców. Artyści i literaci, tak swoi jak obcy, przyjmowani są wszędzie ze szczególniejszém odznaczeniem.

Społeczeństwo Madryckie bawi się jak może, kto wie nawet czy nie więcéj jak może. Na wszystkich przechadzkach pełno jest eleganckich ekwipaży przejeżdżających między dwoma szeregami spacerujących; właściele tych powozów wysiadają z nich co chwila aby powitać i porozumieć ze znajomymi idącymi piechotą, bo tu towarzystwo nic dzieli się na działy i poddziały, trzeba bardzo bystrego oka aby dostrzedz blade zaledwie odcienia, odróżniające mieszczaństwo od arystokracyi. Gdyby nie ta nieszczęsna polityka wciskająca się do najciaśniejszych kółek, jakże to wzorowa zgoda i spokój panowałyby w społeczeństwie madryckiem. Dotąd nieznana tu prawie owa dzika zazdrość i nanawiść biedaków względem bogaczy, a cóż więcéj przemawia tak za jednymi jak za drugimi.

Hiszpanie namiętnie lubią muzykę, tłumy zalegają wszystkie miejscowości gdzie ją można słyszeć. Opera otwarta jest dłużéj jak gdziekolwiek w Europie, a abonament nastręcza entreprenerom rozległe pole do spekulacyi. Znając to zamiłowanie, *impresario*, pan Robles, miał odwagę nie zamykać swego teatru, nawet podczas najburzliwszych wstrząśnień rewolucyi federalnéj. Nie ma dnia w którymby w Madrycie nie było jakiegoś koncertu, w salach Akademii, w salonach, w kawiarniach, po ulicach na których gromady wędrownych muzykantów zagłuszają przechodniów o każdéj dnia godzinie. W lecie miewają regularnie miejsce koncerta publiczne w ogrodzie Buen-Retiro; wejście kosztuje franka i zawsze cisną się tłumy amatorów wszelkich klass. W jesieni, koncerta odbywają się w cyrku księcia Alfonsa; w zimie, co niedziela grywają kwartety w sali Konserwatoryum sztuk, jest to rodzaj akademii, deklamacyi, śpiewu i muzyki. Prosty lud równie zamiłowany jest w muzyce jak wykształcone sfery społeczne, i dziwna rzecz że naród tak muzykalny, tak nie mogący żyć bez muzyki jakby bez powietrza, nie wydał żadnego mistrza ani znakomitego kompozytora.

Z przedstawień dramatycznych, Hiszpanie najlepiéj lubią tak zwane *Zarzuela* od których wzięły nawet nazwę teatra wyłącznie im poświęcone. *Zarzuela* jest rodzaj sztuki będącéj zarazem komedyą, melodramatem, operą, słowem dziwną mieszaniną wierszy, prozy, deklamacyi i śpiewu, coś zarazem poważnego i krotofilnego. W żadnym innym kraju nie ma nic równie oryginalnego. Na innych scenach przedstawiają komedye polityczne, prozą ze śpiewami, oraz buffonady odtwarzające najważniejsze wypadki dzienne a w wielki tydzień epizody z Męki Pańskiéj.

(*d. c. n.*)

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Pani Paulinie B. we Włocławku. Wiadomości bólem przejmujące serce, wypowiedziane z uczuciem i poczciwem słowem, wielce są zajmujące, ale nie wszystko można wypowiadać głośno co się snuje w ciszy własnego ducha.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w trzecim kwartale 1879 r. wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnéj *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . **rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . . **rs. 5**
Rocznie . . . . **rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . **rs. 1.**
Półrocznie . . . . . **rs. 2.**
Rocznie . . . . . . **rs. 4.**

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swéj użyteczności, zrobić przystępną dla każdéj rodziny

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie** *ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).*

Tygodnik Rolniczy, pismo wszystkim gałęziom rolnictwa poświęcone, którego celem jest popularyzowanie nauki rolniczéj, zaznaczanie wszelkiego postępu w produkcyi rolniczéj i zwierzęcéj, jak niemniéj zaznajamianie ogółu ze stanem ekonomicznym kraju w kwartale III roku 1879 wychodzić będzie pod temiż co dotąd warunkami pod głównym kierunkiem J. K. Gregorowicza.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK ROLNICZY

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 20**
Półrocznie „ 2 „ 40
Rocznie „ 4 „ 80

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie rs. 1 kop. 50
Półrocznie „ 3 „ —
Rocznie „ 6 „ —

Przesyłając pieniądze prosimy adresować: do *Redakcyi Tygodnika Rolniczego w Warszawie ulica Chmielna N. 20.*

Przyjaciela Dzieci Nr. 27 wyszedł z druku i zawiera:

Tadeusz Czacki (z drzeworytem). — Niewidome dziecię (wiersz). — Figiel wiarusa (komedya). — Do młodéj dzieweczki (wiersz). — Czyny nauczające. w Dodatku: Marynia (z drzeworytem).—Łzy i uśmiech matki (wiersz) Przygody Zygmusia. — Ktoś (wiersz). — Gawędki mamy z Alinką. — Nieposłuszeństwo (bajka). — Grządki kwiatów. — Łakomy kotek. — Gekon (z drzeworytem). —Promienie słoneczne. — Myszka (wiersz).

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 20).*

Tygodnika Rolniczego Nr. 26 wyszedł z druku i zawiera:

Z praktyki gospodarskiéj,—Próby z Lnianką albo Lnicą. — Przegląd pism rolniczych zagranicznych. O Marchwi. Chrząszczyk kapuściany. Rybołówstwo.—Przemysł gospodarstwa wiejskiego. — Kronika rolnicza.—Nowe wynalazki. — Wiadomości krajowe i handlowe.

Prenumerata wynosi:

w Warszawie, kwartalnie rs. 1 kop. 20.
na Prowincyi, „ rs. 1 kop. 50.

Adres: Do Redakcyi **Tygodnika Rolniczego** *w Warszawie Ulica Chmielna N. 1530 (20).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава, 18 Іюня 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 27, r. 1879.

SZALONE OŻENIENIE.

przez

M. A. Fleming.

przekład z Angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

Gdy nagle zawiadomiono mnie że mąż mój umierał skutkiem strasznego wypadku, uczułam w sercu przerażenie jakie budzi tragiczny koniec każdego choćby nieznanego człowieka, a nie boleść i rozpacz jaka powstałaby w duszy kochającéj kobiety. Pośpieszyłam do niego; zastałam go umierającym, zaledwie kilka godzin życia mu zostawało. Ale lord Dynely miał żelazną wolę, i nie chciał umierać nie zobaczywszy się ze mną. Kochał mnie bardzo... o tak! nie mogłam nigdy wątpić że pomimo swego samolubstwa i namiętności, kochał mnie i był dumnym ze swéj żony. Przez całe życie aż nadto miał względów dla siebie, ale na łożu śmierci nie chciał mieć najmniejszego względu na mnie; zimny, bezgraniczny egoizm był zawsze główną cechą jego rodu; i pojąć nie mogę jak się to stało że ty, Terry, uniknąłeś zarazy tego dziedzictwa."

Zamilkła znowu, myślała o synu. Pomimo ślepego, głębokiego uwielbienia i przywiązania jakie miała dla niego, nie mogła zupełnie nie znać wad jego. Cały ród Dynely'ch odznaczał się nieograniczonem samolubstwem, i ostatni lord Dynely był jego uosobieniem.

„Uklękłam przy jego łóżku, mówiła po chwili, i opowiedział mi w krótkich słowach swoją smutną, przerażającą historyę. W swoich wędrówkach po Galvay, napotkał Morenę Gannon, młodą piękną brunetkę w rodzaju Hiszpanek, z gorącym, namiętnym temperamentem jak wiele dziewcząt tamtejszych i zakochał się w niéj gwałtownie. Całe życie znany był z tego iż gonił bez zastanowienia za każdą kobietą która mu się podobała, oto drugi rys jego charakteru który bynajmniéj nie odbija się w tobie, a który biedny mój Eryk odziedziczył w całéj pełni. Wiesz jak uczciwe i skromne są dziewczęta irlandzkie, jak wszelka dla nich miłość któréj celem nie jest małżeństwo, jest szaleństwem nie mającem najlżejszéj szansy powodzenia, ale lord Dynely nie stawiał nigdy najlżejszéj zapory swoim zachciewkom, nie mogąc poradzić inaczéj, ożenił się z Moreną Gannon."

Noc zapadła; zerwał się silny wicher poprzednik nadchodzącéj burzy, dmąc i zginając drzewa parku. Wiąz rosnący tuż pod oknem, uderzał w szyby końcem gałęzi, jakby palcami widma. Usłyszawszy ten odgłos, lady Dynely zadrżała, i mimowolnym ruchem zbliżyła się do swego uważnego i milczącego towarzysza.

„Lord Dynely przybrał nazwisko Dennison i pod niem wziął ślub ze swą wybranką. Ślub odbył się w małym wiejskim kościołku; błogosławieństwa udzielił miejscowy proboszcz. Ma się rozumiéć że z jego krewnych ani przyjaciół nie było nikogo, ale za to cała jéj rodzina i znajomi. Zaraz po ślubie odjechał z żoną daleko, i nie widziano jéj już aż dopiero gdy wróciła umrzéć w rodzinnéj chatce. Wróciła z tobą na ręku, Terry, i oto całe dzieje smutnego jéj życia. Stara to wiecznie powtarzająca się historya: kaprys, zachciewka gorąca i nieprzeparta z początku, późniéj przesyt i zobojętnienie, a w końcu porzucenie i ucieczka. Matka twoja umarła, tyś pozostał przy życiu, ale lord Dynely odzyskał wolność starania się i zaślubienia innéj, tą inną byłam ja. I zdaje mi się że ani pomyślał o biednéj dziewczynie któréj zakrwawił serce i o śmierć przyprawił, ani też o biednym opuszczonym sierocie żyjącym w nędzy w Irlandyi aż do chwili przyjścia na świat Eryka. Wtedy po raz pierwszy uczuł jakąś obawę i wyrzuty sumienia. Marena była prawą jego żoną... ty prawym synem i spadkobiercą. Jak to już powiedziałam, choć samolubnie i po swojemu, kochał mnie jednak, kochał także i małego Eryka, i zaczął go ogarniać niepokój o przyszłość młodszego syna. Nikomu jednak ani wspomniał o tem i odnośnie do ciebie żadnego nie uczynił kroku, zebrał tylko potrzebne dokumenta aby były w porządku po jego śmierci, swoim zwyczajem zostawiając innym wynikające z tego przykrości i kłopoty. Dopiero na śmiertelnem łożu pomyślał że może przyjdzie mu odpowiadać na tamtym świecie za popełnione tu występki, których nie chciał nagrodzić i okupić o ile to było w jego mocy... i w téj tak wielkiéj chwili samolub myślał tylko o sobie. Co go obchodziło moje cierpienie, moja i Eryka przyszłość, on tylko bał się i chciał wywinąć się od kary za swój zły postępek, posłał więc po mnie i odkrył mi całą prawdę.

„W biórku mojem, rzekł, znajdziesz wszystkie dowody stwierdzone mojem zeznaniem, uczyniłem to dla własnéj spokojności. Jest tam metryka ślubu i metryka urodzenia syna mego. Wprawdzie prawo mogłoby nie uznać tego irlandzkiego małżeństwa, jak to nie raz już miało miejsce w podobnych wypadkach, ale człowiek umierający inaczéj zapatruje się na wszystko niż świat i ludzkie prawa. Tam gdzie idę nie śmiałbym stanąć w obec niéj i spojrzéć w oczy téj biednéj dziewczynie, nie wynagrodziwszy krzywdy jaką uczyniłem jéj synowi. Nie zapominaj o tem, Łucyo, że on to a nie Eryk jest spadkobiercą mego tytułu i majątku... taka jest moja ostatnia wola abyś ty po mojéj śmierci dopełniła tego czego ja dokonać nie miałem odwagi, i wróciła biednemu opuszczonemu w Irlandyi chłopcu przynależne mu prawa. Należy objawić i udowodnić pierwsze moje małżeństwo i prawa starszego mego syna. Możesz być spokojna o siebie, zostawiam ci zapis i znaczne dożywocie, a syn twój dostanie swoją część, jako brat młodszy, ale tylko chłopczyna będący w Irlandyi, syn biednéj Mareny, ma zostać moim spadkobiercą, lordem Dynely i parem Anglii. Raz jeszcze powtarzam, nie zapominaj o téj ostatniéj woli mojéj, Łucyo."

Strasznych tych wyznań słuchałam klęcząc przy łóżku jego, a przeraziły mnie tak okropnie że ani płakać ani słowa wymówić nie mogłam. Pokochałam bezgranicznie Eryka od pierwszéj chwili jego urodzenia: był on całem mojem szczęściem, był dla mnie wszystkiem na świecie.. Wszystkie prawie matki dzielą uczucia swoje między męża i dziecko, u mnie nie miało to miejsca... Aż tu nakazują mi abym zabrała się z nim i opuściła wszystko, oddając jego tytuł i bogactwo dziecku innéj kobiety. Przyznaj sam, Terry, zawołała unosząc się, że spełnienie takich wymagań przechodzi siły ludzkie."

Głos jéj zamarł w tym gorączkowym wykrzyku, konwulsyjnym jak łkanie; Terry ujął obie ręce biednéj kobiety i uścisnął je silnie.

— „Masz pani słuszność, odrzekł smutnie.

„Skonał gdy klęczałam przy jego łożu, mówiła daléj; nieruchome, na wpół otwarte jego oczy groźnie patrzyły na mnie, usta zdawały się chciéć mówić jeszcze." Pamiętaj, mówił mi przed śmiercią, że powinnaś czuwać nad tem aby sprawiedliwości stało się zadość... ja nie umiałem zdobyć się na to, ty powinnaś spełnić ten wielki obowiązek... Jeźli mi tego nie przyrzeczesz nie zaznam spokoju w grobie. Przyrzecz mi że odszukasz to dziecię i w obec świata uznasz i wrócisz mu jego prawa... przyrzecz!..." Były to ostatnie jego słowa, ja nic nie przyrzekłam. Zbrakło mi głosu; gdyby nawet szło nie tylko o jego ale i o własne moje życie, nie byłabym w stanie przemówić... Odurzona, osłupiała, dusza i ciało moje w straszną popadło prostracyę. Patrzył na mnie strasznemi oczami i jednocześnie dostał czkawki przedśmiertnéj... więcéj nic nie przypominam sobie; zemdlałam, wyniesiono mnie bezprzytomną. Odbył się pogrzeb lorda Dynely, ja z Erykiem przewodniczyłam żałobnemu konduktowi. Dziecko moje ubrano w żałobę, obdarłam ją z niego i odrzuciłam ze wstrętem. Miałże nosić żałobę po ojcu który tak okrutnie pozbawił go nazwiska i majątku?... nie! to niepodobna. Sama przywdziałam żałobne szaty, ale w sercu mojem nie czułam smutku ale niewysłowione oburzenie, gniew i niepohamowaną nienawiść dla tego zmarłego co był mężem moim. Na grobie jego umieszczono marmurową tablicę na któréj wypisano społeczne jego i domowe cnoty, a u dołu szumną tę cytatę: *Uczynki jego go przeżyją*... A! tak, przeżyły go... zostawiając po sobie gorycz, hańbę i wyrzuty sumienia. O! słowa te zastosowane do niego były strasznem, krwawem szyderstwem... Zdrowie moje ucierpiało znacznie, obłęd do pewnego stopnia ogarnął umysł. Bałam się okropnie tego umarłego i pogrzebanego człowieka: owa noc i to co mi w niéj objawił dręczyły mnie jak straszna zmora i przerażające widma... Nie mogłam... nie chciałam spełnić woli jego, ale to postanowienie przejmowało mnie zgrozą... a! straszna to rzecz nie spełnić z własnéj woli poleceń umierającego!... Powiedział mi: nie zaznam spokoju w grobie jeźli przekroczysz ostatnią wolę moją... to też były chwile że ogarniała mnie jakaś chorobliwa i zabobonna obawa, aby nie powstał z grobu w którym nie miał spokoju i nie ścigał, nie mścił się nade mną. Krew lodem ścinała mi się w żyłach. Gdyby tak dłużéj trwało, oszalałabym niezawodnie; doktorzy kazali mi jechać do Włoch, zamiast tego pojechałam do Galvay i wyszukałam ciebie. Reszta już ci wiadoma. Chcąc zrobić układ z sumieniem... podeszłam prawdę. Postanowiłam że będziesz się wychowywał i pobierał nauki razem z synem moim, że podzielisz z nim wszystko... wszystko prócz mego macierzyńskiego przywiązania, bo tego dać ci nie mogłam pomimo

że pod każdym względem zasługiwałeś na nie, ale wstręt i nienawiść jaką czułam do twego ojca, stawały temu na przeszkodzie. Kiedyś, myślałam sobie, gdy i ja legnę na łożu śmierci, wyjawię ci całą prawdę, nim zaś to nastąpi będziesz używał wszelkich przyjemności życia, jakich tylko bogactwo dostarczyć może. Nie bolejemy nad stratą o której nie wiemy. Eryk nie może, nie powinien zrzekać się swoich tytułów i majętności dla syna prostéj irlandzkiéj wieśniaczki; cała przyszłość jego nie może być straconą skutkiem rozkazu umierającego ojca, okrutnego samoluba i rozpustnika... Nie powiem nic, zagrzebię prawdę w najgłębszéj tajemnicy... I ciągle tak powtarzałam sobie i upływały lata i obydwa jesteście ludźmi. Za dni kilka Eryk będzie pełnoletnim; on ma ożenić się z Fanny, ty z córką pastora... zamierzałam milczéć, dziś odkryłam ci prawdę. Zanosiłam do nieba gorące, gwałtowne modły; wzywałam Boga aby dał mi poznać rzeczywisty mój obowiązek i siłę spełnienia go... i wysłuchał mych błagań, wypełniłam moją powinność, poznałeś prawdę, wiesz już jak nikczemnie dotąd byłeś oszukiwany, pozbawiony dostojeństw i majątku... Oto papiery pozostawione przez lorda Dynely, i gotowa jestem powtórzyć to zeznanie przed sądami całéj Anglii! Teraz zdaje mi się to łatwem, ale serce mi pęka gdy pomyślę o Eryku..."

Głośne łkanie przerwało jéj mowę. Przewidywała straszne oburzenie, gniew i wściekłość Eryka... będzie chciał choćby do śmierci walczyć i procesować się ze swoim współzawodnikiem i w samolubnem uniesieniu złorzeczyć będzie pamięci ojca, znienawidzi tę któréj winien życie. Tak, znienawidzi, bo ludzie samolubni i słabego charakteru są nader skłonni do tego. Ach! po co mówiła? czemu raczéj nie odebrała sobie życia? jak śmiała to powiedzieć? co znaczą wyrzuty sumienia i śmieszne obawy choćby nie wiedzieć wielu umierających ojców, w obec praw jakie mu nadawało urodzenie?... Więc taka to była owa niby nieograniczona miłość jéj macierzyńska?... O! lady Dynely wiedziała dobrze że jakikolwiek wszystko to weźmie koniec, Eryk nigdy jéj nie przebaczy i nawet widywać nie zechce: wiedziała to dobrze i tak była tego pewną, jak tego że siedzi i rozmawia z Terrym.

Podała mu zwit papierów, wziął je w milczeniu. Otóż i on, pomyślała z goryczą, i on mnie potępia, taką to odbiera się nagrodę za spełnienie obowiązku...

„Nic już nie mam ci do powiedzenia, rzekła po chwili pewnym już głosem, odejdź Terry, proszę zostaw mnie samą."

Wstał powoli i zaczął się w nią wpatrywać. W pokoju było ciemno, mógł więc tylko widzieć nieruchomą jéj postać i marmurową bladość jéj twarzy.

„Sam jeszcze nie wiem co mam odpowiedzieć, rzekł przymuszonym, jakby nie swoim głosem. Jestem osłupiały i jakby nieprzytomny, w głowie mi się miesza... wszystko to takie dziwne i nieprzewidziane... Zostaw mi, pani, dzisiejszą noc do namysłu... czy zgadzasz się na to?

— Nie mam prawa sprzeciwiać się twéj woli, odrzekła szorstko, wszystko teraz od ciebie tylko zależy... tyś tu panem a nie ja... ty jesteś lordem Dynely.

— Ale nie gniewasz się na mnie? rzekł poważnie choć z niejakiem wahaniem.

Takie pytanie zadawał jéj niejednokrotnie, gdy dostrzegł w jéj oczach jakieś źle ukryte niezadowolnienie, i drżący chciał się dowiedzieć czem zasłużył na nie. W téj chwili ta obawa i dziecięca prawie prostota głęboko ją wzruszyły:

„Ja miałabym gniewać się na ciebie! zawołała ze łzami. O! mój biedny Terry, ty nigdy, w całem życiu twojem nie dałeś mi powodu do najlżejszego niezadowolnienia.

— Cieszy mnie to niewymownie, i mam nadzieję że zawsze tak będzie, odrzekł z prostotą. A teraz jeszcze, dodał z niejakiem wahaniem, choć moje zdanie żadnéj dla ciebie, lady Dynely, nie może mieć wagi, pozwól mi powiedzieć że bynajmniéj nie potępiam twego postępowania... i spodziewam się... potrzebuję być przekonanym że wierzysz temu. Pojmuję najzupełniéj coś musiała wycierpiéć... jak ciężkie brzemię kazano ci dźwigać na słabych barkach twoich. Takich wymagań nie narzuca się matce... byłabyś więcéj jak człowiekiem gdybyś była spełniła czego od ciebie wymagał lord Dynely."

Spojrzała na niego smutnym, beznadziejnym wzrokiem.

„Ty, Terry, nie byłbyś się wahał nawet, rzekła.

— Nie wiem... Nie jestem bohaterem, a do takich czynów heroizmu potrzeba. Nie jestem ani tak piękny ani tak śmiały jak Eryk, ale sądzę że łatwiejby mi było śmierć ponieść, niż dla własnéj korzyści zrobić dobrowolnie przykrość komuś kogo kocham. Wszak rozumiesz mnie, lady Dynely, co chcę powiedzieć... Nie martw się więc tem zbytecznie, bo serce mi pęka patrząc na łzy twoje... wszystko jeszcze może się dobrze skończyć. Wszak Eryk nic o tem nie wie?

— Nic... dotąd. A! będzie to dla mnie najcięższa do przeżycia chwila!

Ukląkł przed nią i po raz pierwszy w życiu ustami dotknął jéj twarzy.

„Matko, rzekł, a głos jego tchnął nieograniczonem przywiązaniem, matko... ty najlepsza, najprawdziwsza przyjaciółko moja... zaklinam cię nie rozpaczaj!... wszystko będzie dobrze... Zostaw mi dzisiejszą noc do namysłu, a jutro raz na zawsze z tem skończemy."

Powstał i wyszedł cicho, zostawiając ją w strasznéj niepewności, niepokoju i obawie.

Rozdział X.

Rozmyślanie.

Téj nocy, Terry Dennison po raz pierwszy w swem dwudziesto cztero letniem życiu, nie kładł się, czuwał i rozmyślał. Rozmyślanie!... o! bez wątpienia ze wszystkich nowych doświadczeń, rozmyślanie było najnowszem i prawie zupełnie nieznanem temu tak nie namyślającemu się młodzieńcowi.

Czy robił dobrze czy źle, zawsze to było bez namysłu; działał jakby mimowolnie i z naturalnego popędu, nie namyślając się naprzód. Teraz miał stanowić o losach czterech osób, o przyszłości swojéj lady Dynely i Izy.

Na samą tę myśl, coś nakształt uśmiechu przesunęło się po ustach jego: on, Terry, ma być rozjemcą losu i całéj przyszłości pięknego i świetnego Eryka.

Ale uśmiech ten uleciał gdy tylko wszedł do swego pokoju i położył na stoliku zwój papierów oddanych mu przez lady Dynely, zapisanych na wpół zatartem pismem. Było to pismo ojca który tak okrutnie obszedł się z nim i z jego nieszczęśliwą matką... ojciec ten napisał to... chciał koniecznie wymierzyć mu sprawiedliwość, ale wtedy dopiero gdy sam nie miał już nic ucierpiéć nad tem. Całe życie służył szatanowi, i dopiero umierając chciał pojednać się z niebem, choćby ceną najboleśniejszych ofiar tych co po nim pozostaną. Całe jego życie było jednem nieprzerwanem pasmem zmysłowości i błędów, i dopiero męty jego chciał złożyć w ofierze Stwórcy.

I w sercu jego nie powstało nic nad uczucie wstrętu gdy patrzył na to wyblakłe pismo i myślał o tym co je kreślił, a który od tylu lat już w proch się obrócił.

„*Czyny jego go przeżyją!*"

Usiadł i zapatrzył się przed siebie. Nie był więc biednym Terry Dennison, zawdzięczającym wszystko dobroci lady Dynely, ale starszym synem lorda Dynely, a więc hrabią Dynely posiadającym dobra i pałace w połowie hrabstw składających Anglię, pałac w Highlands, villę w Ryde i listę przychodów tak długą jak jego geneaologia. Mógł zrobić Izę lady Dynely, i na samą tę myśl twarz jego na chwilę zajaśniała radością.

Świetne te widoki roztaczały się przed jego wzrokiem jako zapowiedź pięknéj, olśniewającéj przyszłości.

Terry był nadzwyczaj bezinteresownym, jednak tak długo już żył w wyższem towarzystwie iż nie mógł nie wiedzieć jak wielką i radykalną zmianę spowodowałoby to w jego położeniu. Od niego zależało upomnieć się o jedno z najstarożytniejszych nazwisk rodowych w całéj Wielkiej Brytanii i o jeden z największych majątków, lub wyrzec się tego wszystkiego.

Przez pewien czas serce biło mu gwałtownie gdy rozmyślał nad tem, i nie dziw! boć przecie nie szło tu o jakąś zabawkę dziecinną, którą każdéj chwili można podjąć lub odrzucić.

Powszechnie nazywano Terrego Dennison dobrym chłopcem... i rzeczywiście był takim i miał duszę szlachetną, tchnącą prostotą i prawością. Prawie nie miał nieprzyjaciół, a przeciwnie licznych posiadał przyjaciół, jednakże w ich życzliwości dla niego można było dojrzéć jakby lekki odcień litości. Terry żył z nimi ale nie żył jak oni. Obejście jego i nawyknienia były za nadto prostoduszne; nie był wcale hulaką jak oni wszyscy i jakimi powinni być ludzie ich urodzenia. Nie pił wcale lub tak mało że o tem i mówić nie warto było; nie grał w karty, nie bałamucił kobiet, panien ani mężatek, słowem postępował zupełnie nie odpowiednio swemu wiekowi. Jednak mimo to wszystko mężczyzni lubili Terrego; śmieli się z nim i z niego, nie przekraczając wszakże właściwych granic. Był dobry i łagodny, przecież mimo to wysoki wzrost, siła i głęboka znajomość sztuki angielskiéj „godzenia pod łopatkę" jednały mu pewne poszanowanie. Jeszcze w Oksfordzie, w dorocznych walkach jakie staczały z sobą uniwersytet i miasto, Dennison liczył się zawsze do szczęśliwych zwycięzców. Był silnym, biegłym we wszelkich ćwiczeniach wymagających siły i zręczności; był niezrównanym myśliwym, ale na balach, w damskich buduarach, na dworze — Terry ostatnie zajmował miejsce, nie był ani dandym ani dworakiem.

Nie szastał sercem ani dla dam ani dla baletniczek; nie zbałamucił ani nie wykradł nikomu żony; nie pozował na nieprzepartego *seduktora*, a tem samem w niczem nie był podobny do bohaterów tegoczesnych popularnych romansów. Nie był wolny od pewnych wad, ale miał téż i wielkie przymioty, wśród których szlachetność pierwsze zajmowała miejsce. Sprawić przykrość i boleść jakiejbądź kobiecie, a cóż dopiero lady Dynely którą czcił i kochał, było dla niego zupełnie niemożliwe, a wiedział że korzystając z praw swoich i objawiając je

w obec świata, zakrwawiłby śmiertelnie serce lady Dynely.

Zapewne że dopuściła się podejścia, ale Terry prawie nie uznawał jéj winną. Kochała syna bezgraniczną miłością na jaką bardzo mało synów zasługuje, na jaką najniezawodniej nie zasługiwał Eryk Hamilton—i mogłaż dobrowolnie i z rozwagą, przez posłuszeństwo dla nikczemnie samolubnego męża, pozbawić go odziedziczonych praw, na korzyść jakiegoś obcego dziecka, zabić całą jego przyszłość? Lord Dynely wymagał za wiele—przechodziło to siły słabéj natury ludzkiej.

Odarto go i pozbawiono praw mu przysługujących ależ ona nic temu nie była winna. Wszak mogła pozostawić go na całe życie w biednej chatce irlandzkiej, na krańcach Galwayu, gdzieby dotąd wiódł nędzne, ciężkie życie wieśniacze. Któż mógłby ją, obwiniać i potępiać skoro nikt o niczem nie wiedział? Jednakże udała się tam sama, zabrała z sobą, zawsze i we wszystkiem nie robiła różnicy między nim a własnym synem... Nie dość na tem, obecnie wyjawiła mu wszystko i oświadczyła gotowość dowieść przed światem prawdy słów swoich, bez względu na to co ją to kosztować miało.

Potem pomyślał o Eryku, i widział wściekłość i gniew jego, równie wyraźnie jak papiery leżące przed nim na stole. Niebieskie oczy młodego lorda pałały złością, piękna, zniewieściała twarz jego posiniała prawie od wściekłości i rządzy oporu... Wiedział że Eryk nie odstąpiłby i prawował się do ostatniej życia chwili. Opinia publiczna będzie za nim; na dziesięć artykułów prawa, dziewięć przemawiać będą na jego korzyść, stosunki i wpływy będą go popierać—i masz narażać się na tak nierówną walkę? Byłby to proces nieskończony, głośny w całéj Anglii; zaprzeczanoby ważności małżeństwa zawartego w Irlandyi z pominięciem obowiązujących formalności, a może nawet zdołanoby dowieść że w obec prawa małżeństwo to nie istniało zupełnie. A niedość na tem jakże to boleśnie dotkniętą byłaby lady Dynely skandalicznym rozgłosem jaki wywołałby taki proces—tak ona stałaby się najsmutniejszą ofiarą tego rodzinnego dramatu. O nie! w takich okolicznościach choćby najgoręci pragnął odzyskać prawa swoje, choćby był takim samolubem jak Eryk, za nic w świecie nie chciałby ich dochodzić. Ale Terry innego był usposobienia, dla niego to zrzeczenie się nie było zbyt ciężką ofiarą; nie miał w sobie ani cienia próżności lub pychy, przejął z matki naturę uczciwego ale prostego człowieka. Stanowisko jakie zajmował było dla niego zupełnie wystarczającem, nie żądał innego. Miał stopień oficerski, pięćset funtów dochodu, byle jeszcze dostał za żonę ukochaną swoją Izę, nie pragnął nic więcéj. Choćby świat zatrząsł się w swoich podstawach, on będzie szczęśliwy.

Głębokie westchnienie położyło kres długim jego rozmyślaniom; machnął ręką jakby odgarniając raz na zawsze całą tę sprawę, poczem zapalił cygaro, zozwinął papiery i zaczął je przeglądać. Była tam metryka ślubna, metryka jego urodzenia i świadectwo chrztu, i krótkie zeznanie napisane ręką jego ojca, odnoszące się do małżeństwa jego z Mareną Gennon, prostą wieśniaczką z Galway, jakie zawarł pod nazwiskiem Dennison. Przeczytawszy zwinął napowrót papiery.

„Biedna matka moja! pomyślał, ileż musiała przecierpiéć... O lordzie Dynely! nie spełni się ostatnia wola twoja; dość już złego zrobiłeś za życia, nie można dozwolić ci jeszcze po śmierci unieszczęśliwiać twoje ofiary.“

Wstał i poszedł do otwartego okna pomarzyć trochę i wypalić cygaro. Co tam robi ukochana jego Iza? Ach! zasypia zapewne słodkim snem ta śliczna królowa jego serca, z jego pierścionkiem na palcu, z myślą o nim w sercu. Jutro zaraz pojedzie do niej i wypowie nareszcie co tak dawno powiedzieć pragnął. Ujrzy uroczą jéj twarzyczkę ożywioną miłem wzruszeniem, uśmiechniętą i zarumienioną tak wymownym rumieńcem, usłyszy czułe słowa wypowiedziane jéj dźwięcznym głosem—i poczciwy Terry cały był przejęty miłością, rozkoszą i niewymowną wdzięcznością za tyle spodziewanego szczęścia. Całe życie o tém tylko myśléć. o to tylko starać się będzie aby ubóstwiona jego Iza była szczęśliwą, otoczy ją pieszczotami, najlżejsze nawet ciernie usunie z jéj drogi. Tak, pojedzie zaraz nazajutrz, pobiorą się jeszcze przed Bożém Narodzeniem, a potém, potém... będą szczęśliwi, szczęśliwi zawsze i wszędzie.

Nazajutrz Terry Dennison nie wstał zbyt rano; to też wszystkie zegary wybiły już pierwszą z południa, gdy wystrojony w piękny strój przedobiedni wszedł do pokoju lady Dynely.

„Kochana lady Dynely...“ zaczął mówić i przerwał nagle.

O nieba! jakże strasznie była zmieniona! blada jak śmierć usta sine i spieczone w oczach wyraz rozpaczy, prawie obłędu. Całą noc nie zamknęła oka, tylko gorączkowo chodziła po pokoju; odchodziła od zmysłów na myśl o tem co uczyniła i jakie mogą z tego wyniknąć następstwa. Wszyscy będą o tem wiedziéć... i Eryk dowie się o tem wszystkiem, pozna straszną prawdę... sama ta myśl napawała ją straszną goryczą. przejmowała rozpaczą. Znała szlachetność Terrego, ale jéj się zdawało że wspaniałomyślność sięgająca aż tak daleko aby całą tę prawdę ukryć przed światem, przechodzi siły człowieka.

Wstała i opierając się jedną ręką na poręczy fotela, utkwiła w niego swe zapłakane oczy z wyrazem przerażającego niepokoju. Kobieta przestraszona, mająca za chwilę usłyszéć wyrok śmierci, nie mogłaby patrzeć inaczéj. Chciała przemówić, z jéj spiekłych i drgających ust, wydarł się tylko jakiś dźwięk ostry i niezrozumiały.

Zbliżył się i ujął obie jej ręce, patrząc na nią z nieopisanem współczuciem i litością; wyrzucał sobie że choć na jedną noc dał jéj pozostać w tak dręczącym niepokoju. Ten przestrach jéj dowodził że nie znała go dobrze; myśl ta przykre na nim zrobiła wrażenie.

„Lady Dynely... matko ukochana.. jakżeś mogła przypuszczać że będę chciał zrobić użytek z tajemnicy jaką wyjawiłaś mi wczoraj wieczorem... Samą to myślą wyrządziłaś mi krzywdę. Za nadto kocham ciebie i Eryka, umiem ocenić dobroć twoją dla mnie, abym miał dopuścić się tak samolubnéj i poniżającéj niewdzięczności! Patrz!...

Wyjął z kieszeni zwój papierów; jasny ogień płonął na kominku; chwilkę potrzymał nad nim papiery, poczem spuścił je w płomień.

Lady Dynely wydała krzyk przeraźliwy... jeden z tych co raz słyszany nigdy nie da się zapomniéć... i stała jakby skamieniała z radości.

Oboje utkwili oczy w papier który zasyczał i spłonął niebawem; parę czarnych płatków uniosło się w powietrzu, metryka ślubna i zeznanie lorda Dynely obróciły się w popiół.

— Otóż wszystko skończone, nie pozostało i śladu tak dręczącéj cię tajemnicy, co do mnie ani przez życie całe ani umierając nie zdradzę jéj ani jednem słówkiem.

Pochyliła się ku Terremu zarzucając mu ręce na szyję i opierając głowę na jego ramieniu; nerwowe drganie wstrząsało całem jéj ciałem, gwałtowne łkanie piersi podnosiło. Uścisnęła go konwulsyjnie żadne nie wymówiło ani słówka, tylko łzy zrosiły niebieskie oczy Terrego. Posadził lekko lady Dynely na fotelu i ukląkł przed nią.

— Nie mów nic, rzekł tonem prośby, nie dziękuj boby mi to sprawiło przykrość. Jak mogłaś myśléć że ja zrobię czego to tak bardzo się lękałaś?... mogłażeś przypuszczać że jestem podobnym nędznikiem?...

— Ty nędznikiem!... ty mój Terry... tyś chyba anioł nie człowiek!...

Terry się roześmiał. Była to chwila nader uroczysta, ale to porównanie go do anioła tak mu się wydało pociesznem, że wesoły chłopak nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— O! to za nadto, lady Dynely; ty pierwsza na świecie upatrzyłaś we mnie anielskie przymioty, a zapewniam cię najuroczyściéj że ich bynajmniéj nie posiadam i nie zasługuję na tak wielkie pochwały. Postępowanie moje nie jest znów tak bezgranicznem poświęceniem; nie jestem ani ambitny ani tak żądny uciech jak świetny i piękny Eryk. Jestem oficerem dragonów, mam zapewnione pięćset funtów dochodu, ożenię się z najwięcéj kochaną ze wszystkich dziewic angielskich, i cóż już może mi brakować do szczęścia?... Przeciwnie ogłosiwszy przed światem moje urodzenie, godności i tytuły, objąwszy tak ogromny majątek, wtedy zgodnie z zasadą: „Szlachectwo i bogatwo zobowiązuje“ przyjąłbym na siebie wielkie i trudne obowiązki, a nie wywiązując się z nich godnie, stałbym się niemiłym Bogu i ludziom. Eryk stworzony jest na ulubieńca fortuny, ja powinienem zostać prostym Terencyuszem Dennison.

Mocno wzruszona, lady Dynely patrzyła na niego smutnie i z uwielbieniem zarazem. On klęczał dotąd przed nią, ona rękami obejmowała go za szyję.

„Prostym Terrencyuszem Dennison, powtórzyła. O! nie, Terry, ty jesteś stworzony na bohatera. A! czemuż Eryk pod tym względem nie podobny do ciebie! on nie byłby zdolny postąpić jak ty postąpiłeś... Skąd wziąłeś tak wzniosłe, tak wielkie serce, taką moc wdzięczności?... Z twarzy podobny jesteś do ojca; masz ten sam kolor włosów... tak tyś podobny z twarzy, ale lękam się czy Eryk nie jest podobny sercem.

— Przecież Eryk nie jest znów tak złym, odrzekł Terry nie wiedząc co odpowiedzić. Ale nie mówmy już o tem; niech wszystko pozostanie jak dotąd, jak gdybym rzeczywiście był czem dotąd być myślałem, sierotą, dalekim krewnym znakomitéj rodziny. Jeźli...

Spuścił głowę i zaczerwienił się.

„Jeźli za to będziesz mnie kochać trochę więcéj, lady Dynely, będę mógł powiedziéć sobie, jak to często piszą w romansach: Nie pracowałem darmo.“

Pochyliła się ku niemu, i po raz pierwszy uściskała go jak własnego syna.

„Możnasz nie kochać ciebie, Terry? O! szczęśliwa, stokroć szczęśliwa ta wybrana twoja... Wiem jak pragniesz powrócić do niéj, a jednak, proszę cię, nie opuszczaj mnie jeszcze. To nadzwyczajne spotykające mnie szczęście, ta godna uwielbienia wspaniałomyślność twoja, wydają mi się za wielkie aby mogły być rzeczywiste... Jeźli się oddalisz, powrócą tak już od dawna dręczące mnie obawy, i znów będę nieszczęśliwa. Jestem nadzwyczaj osłabiona i rozdrażniona, zostań ze mną jeszcze z kilka dni, Terry, abym mogła oswoić się ze szczęściem jakie ci zawdzięczam.“

Pozostać była to dla niego daleko większa ofiara

niż to zrzeczenie się praw swoich, nie zawahał się jednak, nie zapomniał o swéj wdzięczności, mógłżeby czegoś odmówić swéj dobrodziejce?

— Pozostanę cały tydzień, odpowiedział; czekałem tak długo, cóż znaczy kilka dni więcéj?

Napisał do swoich przyjaciół że za tydzień dopiero może przybyć do nich ale po jego upływie przyjedzie niezawodnie, a zanim to nastąpi poleca się ich pamięci.

Tydzień upłynął, mógł rozporządzać sobą. Zaopatrzywszy się w pierścionek zaręczynowy, małą obrączkę do połowy wysadzoną brylantami, Dennison wyjechał do Lincoln w piękny poranek sierpniowy. Ptaki śpiewały, słońce świeciło, murawy tak były zielone jakby wyszły z pod penzla najświetniejszego kolorysty. Ani jedna chmurka nie zasępiała pogodnego nieba. „Tak jasnem i czystem będzie moje niebo, pomyślał Terry, ubrany w elegancki strój letni, szczęśliwy, prawie piękny, gdy siedząc w wagonie pędził do Starling, nie rozkładając nawet leżącego obok niego *Times'a*.

„Jakżebym chciał wiedzieć, szeptał sam do siebie Terry, co robi w téj chwili moja ukochana... ciekawym także dla czego Eryk nie wraca. Nie może się to podobać Fanny. Jeden tylko dzień spędził w domu po powrocie i odjechał, i bawi już przeszło dwa tygodnie... Bawi u Carruthers'ów, ale ciekawym bardzo co tam robi tak długo. Doprawdy, pojąć tego nie mogę.“

Rozdział XI.

Piknik.

Było to po południu, w piękny dzień sierpniowy, słońce pełnym świeciło blaskiem a lśniące jego światło złociło wszystkie przedmioty, gdy Denison stanął przy kracie i otworzywszy furtkę, wszedł do mieszkania pastora. Cały dom otoczony był krzewami róż, kapryfolium, werbenami, geranią i fuksyami, miłą woń roztaczającemi w powietrzu. Wszystkie okna i drzwi były otwarte, ale niedzielna cisza zaległa w pokojach.

Gdy cień wysokiéj jego postaci odbił się przez drzwi od sieni, jedyna osoba siedząca w tym pokoju podniosła oczy od roboty i ujrzawszy Terrego wydała lekki okrzyk zadziwienia.

Była to najstarsza i najchudsza z trzech najstarszych panien Higgins.

— Ach! jakżeś mnie pan przestraszył! zawołała. To pan, panie Terry... ktoby się spodziewał?... Wejdźże pan proszę. Nie spodziewałam się dziś nikogo; w całym domu ja tylko pozostałam i Belinda, wszyscy poszli...

— Wszyscy poszli, powtórzył, zwolna, a gdzież poszli, Arabello?

— A gdzieżby jak nie na piknik. A! zapomniałam że nie wiesz o niczem. Sir Filip Carruthers, lord Dynely i kilku młodych paniczów bawiących obecnie w pałacu, urządzili piknik na który cały nasz dom został zaproszony; wszyscy więc udali się tam, ja tylko z Belindą pozostałam, boć trzeba żeby ktoś pilnował domu podczas gdy inni hulają. Belinda jest w kuchni, gdzie przyrządza marmeladę, ja siedzę tu i szyję dla Izy. Zawsze jedno i to samo, dodała z goryczą najstarsza panna Higgins; całe życie pomiatają mną jak kopciuszkiem, zawsze muszę siedzieć w domu jakby na pokucie.

— Gdzież odbywa się ten piknik, Arabello? zapytał żywo Terry.

W pierwszéj chwili wiadomość ta przykre na nim zrobiła wrażenie, ale uspokoił się prędko.

— W pałacu Caruthers, ma się rozumieć. Jak tylko pan wyjechałeś, odbywają się tam nieustające zabawy, przejażdżki po wodzie, gra w kroket, i najrozmaitsze rozrywki. Iza stała się wietrznicą... zwracałam już na to uwagę mamy. Taka gąska powinna być pilnie strzeżona, siedzieć w domu i pilnować roboty, a nie spacerować z młodymi paniczami i przewracać do nich oczy. Ja w jéj wieku nie dopuszczałam się nigdy nic podobnego... Masz tobie, odszedł... I to także ofiara panny Izy... A! jacy ci mężczyźni są głupi!...

Najstarsza z panien Higgins liczyła już trzydzieści pięć wiosen; nie była zła w gruncie, ale zimna obojętność jaką okazywali jéj mężczyźni od lat już piętnastu, skwasiła jéj charakter i obudziła złośliwość. Powróciła do porzuconéj roboty, a Terry udał się na piknik.

Do Caruthers było daleko a upał dokuczał. Słońce dopiekało, zaledwie niekiedy zawiał lekki wietrzyk—nareszcie doszedł do miejsca gdzie się odbywała zabawa. Do koła widać było porozpinane na murawie namioty i markizy; ukryta w cieniu drzew muzyka wojskowa odgrywała piękne melodye; strzelano z łuku, grano w kroket, tańczono, zabawiano się wszystkiém co zająć może płoche, lekkomyślne umysły. Ze wszech stron ukazywały się młode, jasno poubierane dziewczęta, odbijające jak różnobarwne kwiaty od zielonéj murawy, ale nigdzie nie mógł dojrzéć swéj ukochanéj.

— Ach! jak się masz Terry, zawołał wielebny pastor Higgins, wyciągając do niego rękę w czarnéj nicianéj rękawiczce. Kiedyżeś przyjechał?

— Przed chwilą. Gdzież jest... chciałem powiedzieć gdzież są panie?

— Amelia, Józefina i Emmelina wprawiają się w strzelanie z łuku. Kornelia i Wiktorya grają w kroket, Ewangelina siedzi przy matce; Elżbieta dopiero co tu była, a Arabella i Belinda zostały w domu, odrzekł spokojnie pastor.

— Widziałem się z Arabellą, ale gdzież jest Iza?

— Iza jest... hm!.. nie widzę jéj jakoś, odrzekł powoli oglądając się do koła. Elżuniu dziecię moje, gdzie jest Iza?

— Iza pływa w łodzi po stawie z lordem Dynely, ojczulku, odrzekła z pewnym impertynenckim odcieniem w głosie siódma panna Higgins, spoglądając złośliwie na Terrego. Jeźli chcesz ich odszukać, Terry, mogę cię zaprowadzić.

Podał jéj rękę i poprowadziła go przez łąki i gaje do miejsca w którém pomiędzy dwoma wzgórzami błyszczała woda, niby staw w miniaturze. Na jéj powierzchni unosiła się mała łódź biała, podobna do wielkiego kwiatu białéj lilii, w niéj siedział młodzieniec i dziewczyna.

— Oto Iza i lord Dynely, rzekła ze złośliwym uśmiechem Elżbieta. Nie wiem jakie są zamiary lorda Dynely, ale wiem że będąc na miejscu papy, zapytałabym go o to.

Terry poczerwieniał. Spojrzał na nią a serce jego boleśnie się ścisnęło.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Elizo? zapytał.

— Chcę powiedzieć, odrzekła najzłośliwsza i najprzezorniejsza z panien Higgins, że jak na człowieka już zaręczonego, lord Dynely za często do nas przychodzi i zanadto zajęty jest Izą. Bo wszakże prawda że jest zaręczony.

— Tak... nie... sam nie wiem; jest on... Elizo, ty nie chcesz przecie dać mi do zrozumienia że Iza jest... jest...—tu twarz jego nagle pobladła—jest zakochana w lordzie Dynely?

— O tém nic powiedzieć nie mogę, odrzekła, ja nie trawię życia na spacerowaniu przy blasku księżyca, czytaniu romansów i poezyj. Muszę odwiedzać chorych w moim wydziale, bywać na posiedzeniach Towarzystwa biblijnego i na zebraniach w Darcas. Nie znam i nie rozumiem nic co tylko odnosi się do miłości i marnéj czułostkowości, dodała z szyderskim uśmiechem, wiem tylko że będąc na miejscu ojca, nie pozwoliłabym młodemu lordowi przesiadywać w domu od rana do wieczora, zalecać się do najładniejszéj z moich córek, odbywać z nią samotne wycieczki już to przy świetle księżyca już przy blasku słonecznym, lub znowu bardzo rano, całe godziny leżéć na murawie przy jéj nogach, czytać z nią Meredith'a, Tennyson'a, trzymać jéj jedwab do zwijania, śpiewać z nią duety i... Ale bah! gdyby ojciec nasz włożył i trzy pary okularów, nie widziałby jeszcze coby się działo na jego nosie lub na brodzie.

— A! więc tak postępują! zawołał Terry dotknięty w głębi serca.

— Sam się pan przekonasz. Dość wymienić w obec Izy nazwisko tego gentlemana, aby się zaczerwieniła po same uszy. Powiedziałam to ojcu, powiedziała mu to i Arabella, ale to groch na ścianę. „Ta! ta! ta! dajcie mi pokój, moje dzieci, niech się mała Iza zabawi. On zdaje się zacny chłopiec, ona poczciwa i niewinna dziewczyna, cóż złego że się pośmieją razem.“ Oto co odpowiada ojciec na czynione mu uwagi. Według mnie, szczególniejszy to rodzaj zabawy dla młodéj, przyzwoitéj panienki. Z mamą gorsza jeszcze sprawa, słowa sobie powiedzieć nie da, cieszy się tylko że córka jéj będzie wielką panią. Co do mnie, pojąć nie mogę podobnéj niedorzeczności, zawołała z oburzeniem pozytywna i praktyczna Elżbieta Higgins.

Terry milczał; śmiertelna bladość pokryła twarz jego; patrzy smutnie na zwierciadlaną wód powierzchnię, łódź znikła na zakręcie, słychać śpiew Izy. Dźwięczny jéj głos dochodzi do nich, pomieszany wkrótce ze śpiewem lorda Dynely. Słuchali w milczeniu, dopokąd ostatnia nuta nie zamilkła.

„Chodźmy, rzekła Elzbieta, patrząc z pewném współczuciem na zmienioną twarz Terrego.

Lubiła go bardzo. Elżbieta była narzeczoną Edwina Meeke, wikaryusza jéj ojca, ale uczucie jakie miała dla niego było tak spokojne i chłodne, iż nie przeszkadzało powstać w jéj sercu prawdziwie braterskiemu przywiązaniu—a takie tylko żywiła dla Terrego, którego uważała już za szwagra.

— Terry, rzekła, jeźli kochasz Izę i jeźli obchodzi cię panna Forrester, doradź po przyjacielsku lordowi Dynely, żeby nie tak często tu przychodził i nie tak długo przesiadywał.

Biedny Terry! szedł obok niéj, ale niebo nie wydaje mu się już tak świetném, ziemia tak piękną. Słońce nie jaśnieje tak wspaniałym blaskiem, lub przynajmniéj blask jego nie przedziera się do jego duszy. Pierwszy raz w życiu zazdrość zbudziła się w jego sercu.

Wsparta na jego ramieniu, Elżbieta poprowadziła go w przeciwną stronę. Mówi do niego ciągle, rozpowiada mu jak pan Meeke zamierza dom swój urządzić, o biednych znajdujących się w parafii, o szkółkach i stowarzyszeniach, on słucha nie słysząc, nie rozumiejąc. Iza i Eryk! Eryk i Iza! dwa te połączone imiona nieustanie brzmią mu w uszach tkwią w mózgu.

(d. c. n)

Opis do N-ru 26.

(*Dokończenie*)

N. 7. Szlak z kratek ażurowych wyciągniętych w płótnie.

Odpowiedni do firanek, serwet i t. p. może być wykończony oddzielnie i naszyty, albo też wyciąga się kratki wprost z tła. Na rycinie 7 kratka tworzy się przez wyciąganie sześciu nitek tła, pozostawiając po trzy nitki wzdłuż i w poprzek na kratkę. Nitki wyciągnięte przycinają się równo przy samych brzegach, albo co jeszcze umacnia robotę podwijają pod spód i przystębnowują, ale to robi się tylko wtedy gdy szlak nie jest naszyty lecz wyciągany w tle. Szlaki przygotowane oddzielnie do naszycia mają brzegi wpuszczane w wązki obrąb i zastębnowane lub przeszyte luźnym ściegiem, jak na ryc. 7, rzadko lecz równo; następnie daje się pajączki i paski matowe wyszyte bawełną Nr. 5 a wyszycie deseniowe między paski dane jest nićmi.

N. 8. Szlak ściegiem gobelinowym i luźnym.

Płótno kanwowe lub kanwa de congrés stanowi najodpowiedniejszy materyał do wyszycia tego rodzaju szlaków. Łatwe wykonanie haftu objaśnia dostatecznie rycina; do wyszycia można użyć, stosownie do tła bawełny białej lub kolorowej albo jedwabiu.

N. 9—18. Ubrania letnie.

N. 9, 27 i 39. Suknia z długim stanikiem z materyału gładkiego i w pasy.

Stanik zapięty jest na haftki a guziki dane u góry z boków po za brzegami kamizelki z materyału w pasy i przy kieszeniach przyszytych u dołu przodów, tuż przy kamizelce. Spódnica ma przód i bryt tylny plisowane a z boków dane plisowanie tylko 30 cent. szerokie. Rycina 27 wskazuje krój tuniki upiętej na spódnicy; przedni bryt a) od góry na 30 cent. zestawiony gładko, sfałdowany jest do 130 a z boków do 92 centym. długości i po zaszyciu zaszewek górnych, wszyty gładko wraz z suknią; plisa z materyału w pasy jest 11 cent. szeroka. Obie połowy tylnego bryta są podobnie jak przód sfałdowane z brzegów skośnych do 92 cent. i w całej długości oszyte z przodem, następnie bryt tylny złożony punktami do siebie założony jest ku górze w fałdę 28 cent. głęboką. Górny brzeg tylnego bryta na szerokość plis wszyty jest gładko z boków zaś troche zmarszczony. Kapelusz florencki opisany przy ryc. 37 w N-rze 25.

N. 10. Suknia ozdobiona szlakami haftowanemi.

Uszyta z ciemno oliwkowego materyału „toile de Mulhouse" ma vêtement i spódnicę naszytą plisami z haftem krzyżykowym filozelą żółtawą. Kokardy z wstążki tego co suknia i co haft koloru; na szyi wielkie dżetowe szlifowane perły. Kapelusz czarny słomkowy z wysoką główką, podszyty czarnym atłasem, opasany fałdowanym skosem spiętym kokardą, z boku bukiecik kwiatów.

N. 11 i 29. Suknia z vêtement.

Spódnica niesięgająca ziemi z materyi faille ciemno oliwkowego koloru, oszyta plisowaniem 16 cent. szerokiem. Vêtement z przodami formą princesse i z odcinanemi plecami jest z blado żółtawej materyi w deseń mille-fleurs; 6 cent. szerokie koronki bretońskie i kokardy z atłasowej 4 cent. szerokiej wstążki w kolorze żółtym i oliwkowym stanowią przybranie strojnego vetement, które z przodu ma wstawiony plastron z blado niebieskiej materyi cały nagarnirowany koronką. Kapelusz biały bastowy, podszyty czarnym aksamitem i podpięty z boku kokardą.

N. 12 i 28. Ubranie z białego batystu.

Kolorowe szlaki z haftu maszynowego można zastąpić ponsowem lub szafirowem wyszyciem; plisy są 4, falbanki 6 cent. szerokie. Spódnica z przodu zakończona plisowaniem 16 cent. szerokiem, składanem w fałdy 5 cent. szerokie a 3 głębokie; tylne bryty mają dwie po 8 cent. szerokie, drobno plisowane falbanki. Krój tuniki zrobionej oddzielnie lub upiętej na sukni podaliśmy na ryc. 28. Kokardy z wstążki atłasowej 3 i pół cent. szerokiej w kolorze takim jak szlak. Stanik szyje się bez podszewki i ma baskinę krótką, z przodu ściętą bawetowo z tyłu fałdowaną i przedłużoną nakształt fraka. Szlak naszyty z tyłu w ząb śpiczasty z przodu odznacza brzegi kamizelki złożonej w drobne fałdki. Kapotka biała słomkowa zdobna koronką bretońską, wstążką serge i kwiatami jabłoni.

N. 13. Suknia z mantylą.

Odrobiona formą princesse z materyi gładkiej i adamaszkowej; szerokie, ozdobione haftem ranwersy boczne są na wierzchu trenu spięte atłasową kokardą. Mantyla z szalowemi końcami z materyi „sicilenne" oszyte plisowaniem z czarnej koronki 7 cent. szerokiej i pasmanteryą



N. 1. Ubranie negliżowe. N. 2. Ubranie domowe.

z koronkami 8 cent. szeroką. Kapelusz czarny słomkowy z rondkiem podszytym bufowanym atłasem, przybrany koronką i piórem.

N. 14. Suknia z vêtement.

Szlaki drukowane w deseń kolorowy którego kontury są obwiedzione łańcuszkiem z nitki złotej, stanowią przybranie sukni z ciemnego kretonu, zakończonej falbaną plisowaną w kontrafałdy. Przody vêtement dopełnione bardzo długą odciętą kamizelką, za ścięte trochę śpiczasto. Kokardy z wstążki kolorowej.

N. 15. Suknia przybrana koronką.

Takie odrobienie nadaje się do kosztownych lub do tanich materyałów i może być zastosowane przy strojnem wizytowem lub przy spacerowem ubraniu. Spódnica niesięgająca do ziemi oszyta trzema plisowanemi falbankami; bryt przedni złożony w poprzeczne fałdy przedzielony trzema rzędami koronki. Boczne bryty draperyi dochodzące do przodu sukni, złączone z tyłu prostym zręcznie podpiętym brytem, są także złożone w poprzeczne fałdy, z jednego boku przytwierdzone wzdłuż przodu kokardami, z drugiego przyszyte w odstępie 10 cent. od brzegu a przy przodzie rozkładające się wachlarzowo. Przody stanika dopełnionego kamizelką są z brzegów oryginalnie zakończone skosem 14 centym. szerokim, założonym w fałdki zebrane ściśle aż do wcięcia stanu, niżej zaś skos puszczony jest wolno i przeprowadzony do pleców stanika gdzie przewiązany jest lekko na środku baskiny. Kokardy z wstążki 7 cent. szerokiej. Kapelusz z szerokiem, płaskiem rondkiem wygiętem z przodu, jak na ryc. 35 w N-rze 25.

N. 16. Ubranie małej dziewczynki.

Sukieneczka z bronzowego lężu przedstawiona na ryc. 16 ma formę luźnego paletocika dopełnionego fałdowaną falbaną 30 cent. szeroką, przyszytą do podszewki i wsuniętą 14 cent. pod brzegi paletocika. Długość sukienki z przodu 70 z tyłu 73 cent. Naszycie przednie, pliski, kieszonki, wykłady na rękawach i kołnierzyk są z deseniowego materyału.

N. 17. Suknia z czarnej grenadyny.

Przybrana suto koronką, która ma cały przód zagarnirowany, odszyta formą princesse, ma tylne bryty lekko bufowane.

N. 18. Ubranie negliżowe.

Negliż z cienkiego kaszmiru na podszewce jedwabnej ma przody formą princesse a plecy złożone z kilku części. Drugie środkowe części pleców 68 cent. dane są z atłasu, u góry po 8 i pół, w pasie 4 i pół u dołu 7 cent. szerokie; dopełnienie ich długości stanowi prosty bryt 64 cent. szeroki, złożony w podwójną kontrafałdę, spiętą kokardą, u dołu sukni bryt ten wysunięty na 20 cent. dłużej tworzy tren ścięty prosto. Wstążka atłasowa 4 cent szeroka, wszywka 3 cent. i koronka 4 cent. szeroka stanowi przybranie negliża.

N. 19. Chusteczka batystowa wyszyta krzyżykami.

Brzegi chusteczki są wydziergane w stopniowane ząbki; w odstępie 4 cent. powyżej dany szlaczek krzyżykowy, na rogach skrzyżowany aż do brzegów; monogram stosowny do nazwiska odrobiony w dwóch kolorach. Model przedstawiony na ryc. 19 był haftowany bawełną szafirową do cieniu

N. 20—21a. Chusteczka jedwabna z kratką ażurową.

Chusteczka biała fularowa mająca w kwadrat 40 cent. ma w odstępie 5 i pół cent. od brzegu daną kratkę ażurową, z nitek wysiepanych, przeszytą niebieskim jedwabiem; wykonanie kratki objaśnia ryc. 21a w zwiększeniu

a ryc. 21 w naturalnej wielkości, przyczem wskazany jest szlaczek brzeżny dziergany w odstępach trzema ściegami stopniowej długości.

N. 22—24. Suknia z draperyą à panier.

Upięcie suto przybranej spódnicy, niesięgającej do ziemi, przedstawionej z przodu i z tyłu na ryc. 22 — 23, wskazuje efektowne połączenie gładkiego i deseniowego materyału i nadaje się zarówno do perkalu, wełny, materyi i t. p. Model był z perkalu granatowego i białego w deseń mille fleurs; przybranie było z mocnej nicianej wszwki i koronki wywodzonej niebieskim; kokardy z wązkiej wstążki atlasowej. Środkiem przodu spódnicy naszyty wzdłuż skośny pas deseniowego materyału, objęty wypustką, u góry 15 u dołu 20 cent. szeroki, pod który z boków podchodzi fałdowanie poprzeczne z gładkiego materyału, sięgające aż do tylnego bryta a w górze dochodzące aż do podpięcia à panier. Na ryc. 24 litera a) wskazuje krój dwóch części panier z przodu zachodzących na siebie, sfałdowanych podług znaków i przyszytych na sukni podług ryc. 22. Podług części b) kraje się bryt tylny z gładkiego materyału, którego podpięcie wskazuje rycina 23. Plisowanie 15 cent. szerokie zdobi dół sukni.



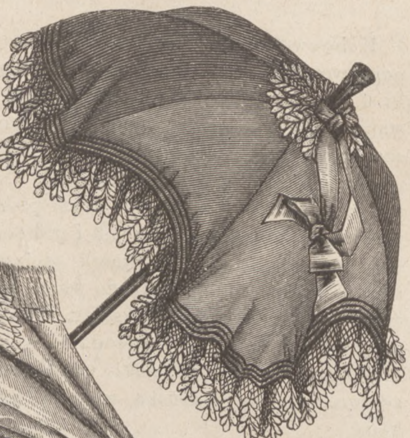
N. 3. Toczek przybrany piórami.



N. 4. Kapelusz podróżny filcowy.



N. 5. Kapelusz ogrodowy ubrany koronką.



N. 9. Parasolik demi-marquise z koronką.



N. 8. Parasolik oszyty plisowaniem.



N. 6. Kapelusz czarny bastowy.



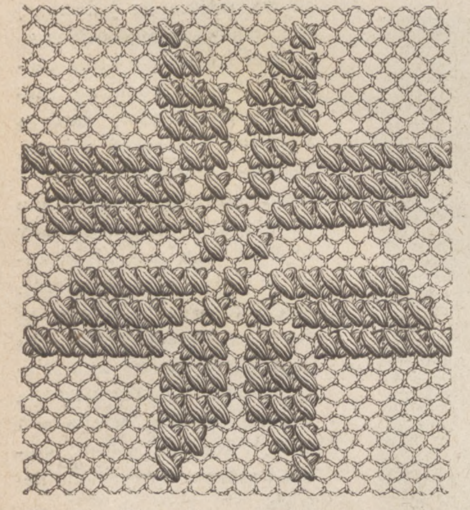
N. 7. Kapelusz z florenckiej słomki.



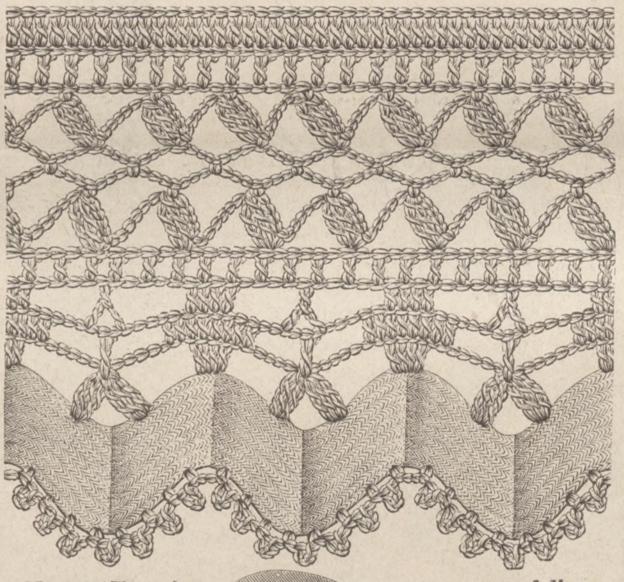
N. 15. Pokrowiec na parasol. Patrz ryc. 15—19.

N. 25 — 26. Suknia z kaftanikowym stanikiem i kamizelką. Krój stanika patrz ryc. 35 w N-rze 23, kamizelki ryc. 13—14 w N-rze 11.

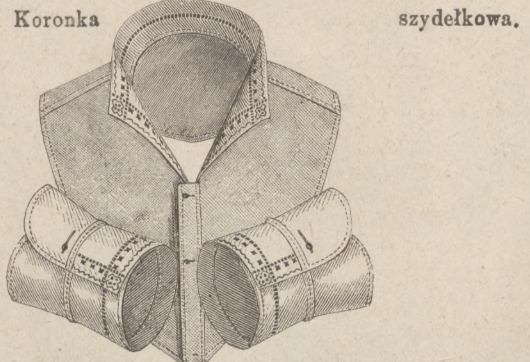
Spódnica przykrajana tylko w połowie długości, dopełniona plisowaniem 60 cent. szerokiem, przestębnowanem w odstępie 25 c. od góry a u dołu podszytem taśmą. Przyszycie plisowania przykrywa draperya ufałdowana poprzecznie z bryta 58 cent. szerokiego a 196 długiego, który w jednym końcu sfałdowany do 21 centymetrów na środku spódnicy jest zmarszczony do tejże długości, przyczepiony na około sukni jest zmarszczony do tejże długości, przyczepiony na około sukni a z tyłu zbywająca długość spada na suknię w końcu zręcznie podpiętym i zaokrąglonym u dołu. Stanik i kamizelka dopasowywa się podług powyżej wskazanego kroju. Suknia ta jest z piaskowego beżu, z kamizelką z atłasu tegoż koloru, haftowaną kolorowym jedwabiem; brzegi stanika przestębnowane kilkakrotnie.



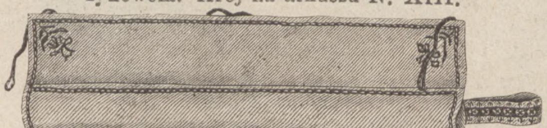
N. 11. Wyszycie na tiulu do serwety r. 12.



N. 10. Koronka szydełkowa.



N. 13 — 14. Kołnierzyk i mankiety z wyszyciem krzyżykowem. Krój na arkuszu N. XIII.



N. 16. Pokrowiec na parasol. Patrz ryc. 15.

N. 30—31. Tunika do sukni.

Rycina 30 wskazuje rozłożoną płasko tunikę do sukni z ciemno granatowego płótna, która może być odrobioną z jakiegokolwiek materyału, podług kroju załączonego na ryc. 31. Bryt przedni a) (w którym dane są w górze zaszewki mniejsze lub głębsze odpowiednio do figury) zszywa się w całej długości gładko z klinem b), poczem zakładają się fałdy oznaczone punktami i krzyżykami do 68 centym. długości. Tylny bryt c), z jednego brzegu fałduje się do równej z bokiem długości, z drugiego oszywa plisowaniem 4 cent. szerokiem, podpina w jedną fałdę pod kokardą i przypina do klina bocznego tuniki lub zapina na haftki. Szlaki zdobiące tunikę podaliśmy na ryc. 26 w N-rze 25.

N. 34 — 36. Suknia z haftowanemi szlakami.

Suknia przedstawiona z przodu i z tyłu na ryc. 34 — 35 jest z jasno granatowego perkalu, ozdobiona 6 cent. szerokiemi szlakami w kolorowy deseń obwodzony łańcuszkiem nitką złotą. Stanik zapinany z boku na kryte haftki, ma kamizelkę naszytą szlakami; baskina z tyłu ma wstawioną część sfałdowaną wachlarzowo, u góry zebraną pod kokardą z repsowej wstążki 3 centymetra szerokiej. Rycina 36 podaje krój tuniki: a) przedstawia połowę przodu, którego boczne brzegi przez złożenie trzech fałd skrócone są do 56 centym.; bryt tylny b) sfałdowany u góry i z boku podług znaków, z drugiego boku puszczony gładko w całej długości. Spódnica ozdobiona plisowaniem, w odstępach 11 cent. naszytem wzdłuż szlakami.



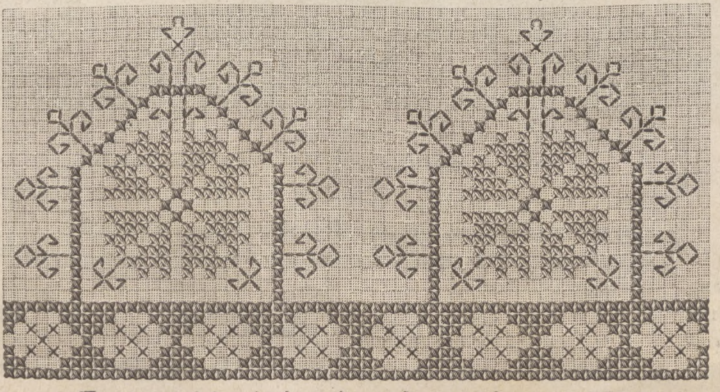
N. 12. Serweta wyszywana na tiulu. Patrz ryc. 11.

N. 37 — 38. Suknia z vêtement à panier.

Bardzo praktycznie jest kamizelkę uszyć oddzielnie i zmieniać ją dowolnie; rękawy na ryc. 37 także urządzone są w ten sposób iż mogą być tylko do łokci, lub przez przypięcie oddzielnych części przedłużają się do ręki. Model był z materyału żółtego do prania (toile de Mulhouse); wypustki i kamizelka z materyału granatowego, szlaki i ząbki 4, 5 i 6 centym. szerokie i kokardy z atłasowej wstążki w dwóch kolorach 2 i pół cent szerokiej, składały przybranie. Vêtement podpięte z przodu à panier, z tyłu miał bryt prosty zręcznie ufałdowany a z przodu w pasie było spięte jedną patką. Spódnica z przodu i z boków zaplisowana aż do kamizelki przeszyta szlakiem z falbaneczkami, przy tylnym brycie miała tylko dwie plisowane falbanki po 9 centym. szerokie.



N. 17. Wyszycie do ryc. 15



N. 18. Szlak ściegiem krzyżykowym i prostym do pokrowca rycina 15.



N. 19. Wyszycie do ryc. 15.

Opis do N. 27.

N. 1. Ubranie ranne złożone ze spódnicy i luźnego vêtement.

Trochę powłóczysta spódnica z jasno popielatego kretonu, oszyta jest plisowaniem 40 cent. szerokiem. Vêtement gładko spuszczone oszyte koronką z mignardisse i szydełkowej roboty, 6 cent. szeroką, przy kieszeniach, mankietach i kołnierzu podług formy rozszerzoną, a u dołu vêtement w zęby układaną. Deseń z łatwością nadający się do podobnych zmian podaliśmy w N. 14 Tygodnika Mód na ryc. 17.

N. 2. Ubranie domowe. Spódnica i vêtement á panier. Krój vêtement N. XIV Fig. 52.

Model odrobiony był z piki repsowej w deseń „mille-fleurs,“ pod zęby vêtement podszyte było 6 cent. szerokie plisowanie z muślinu oszyte koronką. Spódnica nie dotykająca ziemi oszyta w kontrafałdy układana 16 cent. szeroką falbaną i wązkiem w górę obróconem plisowaniem. Na przednim brycie naszyte kilka rzędów zębów 5 cent. szerokich, podgarnirowanych plisowaniem. Fig. 52 podaje wzór do kroju vêtement, którego otwarte przody dopełnione kamizelką białą, podpiąć w sposób widoczny na ryc. 2 w N. 22 Tygodnika. Plecy z długą baskiną dopełnia bryt prosty d) któren w górze i na 46 cent. od dołu ułożony jest w szeroką kontrafałdę. Kokardy ze wstążki w kolorze odpowiednim deseniowi.

N. 4. Kapelusz filcowy podróżny. Piaskowego koloru, ubrany takąż gazą jedwabną, przerabianą w paski kolorowe która z przodu upięta w szeroką kokardę, w koło główki w fałdy ułożona, a z tyłu w zręczny węzeł przewiązana. Z boku wpięte skrzydełko bronzowe.

N. 5. Kapelusz spacerowy na wieś, od spodu ronda podszyty bufką z czarnego atłasu, z wierzchu ubrany białym muślinem i 5 cent. szeroką, plisowaną koronką, układaną wachlarzowo w sposób na ryc. 5 wskazany.

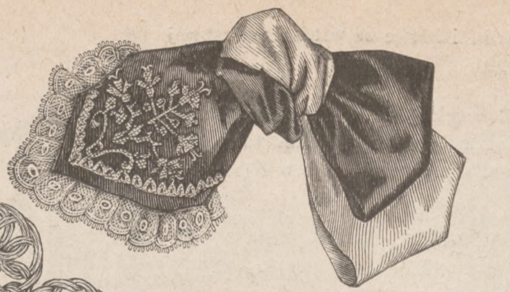
N. 6. Kapelusz czarny bastowy. Ma rondo z boku w górę podniesione i podszyte czarnym atłasem, przemarszczanym w skośne bufki, podług ryc. 19 w N. 25. Koło główki 10 centym. szerokiej, opasane gładko trzy czarne aksamitki, z boku przepięte razem płaskim węzłem. Z boku przypięty bukiet z niezapominajek, żółtych kluczyków, róż ciemno karmazynowych i blado żółtych z liśćmi ciemnemi. Z tyłu pod rondem



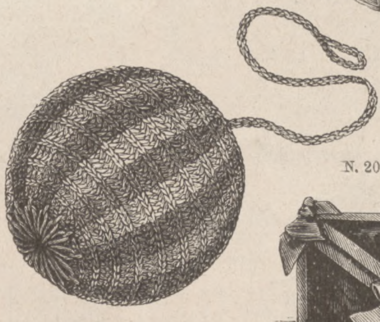
N. 21. Kokarda z koronki i wstążki.



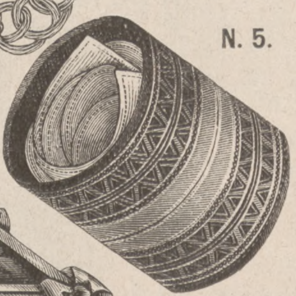
N. 20. Zaczęcie roboty szydełkowej do ryc. 43 w N. 28.



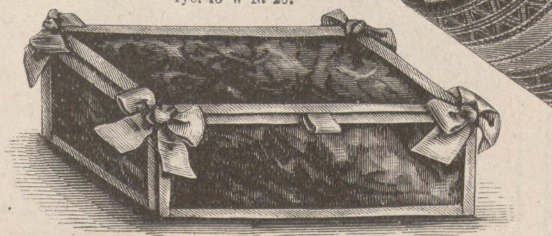
N. 22. Kokarda z wyszyciem krzyżykowem.



N. 23. Piłka. Robota szydełkowa.



N. 25. Pudełko do mankietów.



N. 24. Kasetka z tafli szklanych.



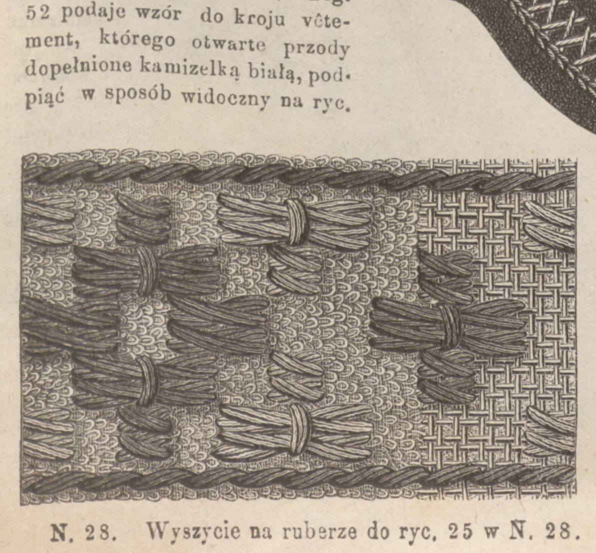
N. 26. Suknia z ubieraną spódnicą i stanikiem paletocikowym.



N. 29. Lambrekina haftowana na suknie do ozdoby koszyczków, półeczek i t. p.



N. 27. Suknia z vêtement. Krój na arkuszu Nr. VIII, Fig. 22 do 26a.



N. 28. Wyszycie na ruberze do ryc. 25 w N. 28.



N. 30. Wyszycie na materyale w pasy do ryc. 25.

przypięta długa kokarda i końce ze wstążki atłasowej 3 centym. szerokiej.

N. 7. Kapelusz z florenckiej słomy. Rondo 9 cent. szerokie podszyte białym atłasem, przemarszczonym 4-ry razy, w sposób wskazany na ryc. 20 w N-rze 25.



N. 31. Fartuszek dla dziewczynki lat 5 — 7. Krój i deseń na arkuszu N. VI, Fig. 18—19a.

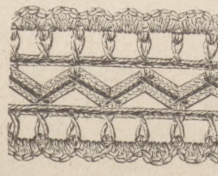


N. 35. Suknia ze stanikiem z baskiną i żabotem koronkowym.



N. 32. Fartuszek z bretelkami. Patrz ryc. 33 i 34. Krój na arkuszu Nr. XI, Fig. 40.

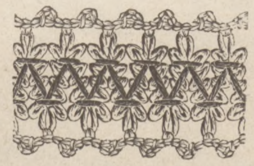
Z przodu na rondzie i główce upięta suta kokarda z 4 cent. szerokiej, białej atłasowej wstążki, która gładko przepasana koło główki jest z tyłu skrzyżowana na zgiętym rondzie i związana na kokardy z końcami. Z boków przy kokardzie i od spodu ronda nad czołem, przypięte bukieciki konwalii.



N. 33. Torsadka do fartuszka r. 32.



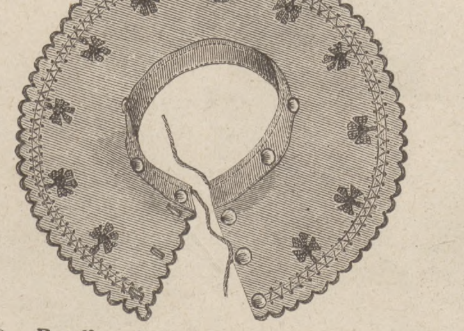
N. 37. Główka do kapelusza płóciennego ogrodowego. Patrz rondko ryc. 38 i 39.



N. 34. Torsadka do ryciny 32.



N. 36. Suknia z podwójną tuniką.



N. 38. Rondko płasko rozpostarte do kapelusza ryc. 39.

N. 8. Parasolik formą chińską. Pokryty surowym jedwabnym bastem, podszyty białym lub kolorowym fularem, ogarnirowany jest plisowaniem 7 cent. szerokiem, z brzegów trochę wysiepanem. Drewniana jasno polityrowana laska, ozdobiona jedwabnemi kwastami.

N. 9. Parasolik formą „demie-marquise,“ garnirowany koronką.

Parasolik z czarnego jedwabnego repsu, tem odróżnia się od zwykłej markizy, iż żeby nie przy 8 kwaterkach lecz tylko (co druga kwaterka) przy 4-rech są dodane. Model parasolika oszyty był koronką 5 cent. szeroką wywodzoną jedwabiem majowego koloru; kokarda ze wstążki atłasowej, z jednej strony czarnej z drugiej zielonej, podszewka z białego fularu, rączka czarna polityrowana. *(dok. nast).*



N. 39. Suknia z vêtement i kapelusz płócienny ogrodowy. Patrz ryc. 37 i 38.